



ROK LIX

Nr 43

# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 23 PAŹDZIERNIKA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Robotnice fabryczne w Warszawie—*M. B. - Ł.* Ponad różnicami przekonań — *H. Ceysingerówna*. Praca domowa ucznia—*T. Męczkowska*. „Młodzieniec” (nowela) dokończenie — *Zygmunt Kisielewski*. Spacer z Joanną — *K. F.* Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) c. d. — *P. Mantegazza* — autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszaną*. Była sobie żydóweczka (z życia wielkiej tragiczki) — *C. Walewska*. Od anarchji do karności, od koturnu do prostoty — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Materac, który może służyć za taboret. Horoskopy na rok 1927.—*Well*. Polska współczesna. O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothe*. Tuczenie drobiu — *H. B.* Zapasy spiżarniane — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas - Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

## ROBOTNICE FABRYCZNE W WARSZAWIE



istnieje pogląd, rozpowszechniony wśród osób stojących zdala od praktyki życia gospodarczego, jakoby fabryka równała całkowicie różnice między pracą mężką, a kobiecą. Podstawę do tego poglądu dały zdumiewające postępy w stosowaniu siły mechanicznej i maszyn,

przy których wysiłek fizyczny robotnika, schodzi na plan drugorzędny. Mimo to jednakże, przy niezmiernie szerokiem stosowaniu pracy kobiet w różnych gałęziach przemysłu, widzimy wyraźne rozgraniczenie między pracą robotnika i robotnicy fabrycznej,

Granica ta ma swe źródło z jednej strony w słabości sił fizycznych kobiety, które, przecież, nawet przy wprowadzonych przez nowsze systemy pracy ułatwieniach, nie zawsze mogą wystarczyć, z drugiej zaś — w ochronie pracy kobiet.

Przepisy prawne wszystkich krajów cywilizowanych i jeszcze przedwojenna konwencja międzynarodowa ustaliły w stosunku do kobiet pracujących w przemyśle zakaz pracy nocnej. Tak samo powszechnie przyjęty jest zakaz pracy kobiet w kopalniach pod ziemią. Kobietom zabroniona jest obsługa transmisji i silnych motorów i wogóle zajęcia, narażające na częste wypadki, lub związane z podnoszeniem i przenoszeniem znacznych ciężarów, jak również zatrudnienia przy szkodliwych procesach chemicznych. Ograniczenia te mają źródło nietylko w uwzględnieniu słabszych sił fizycznych kobiety, ile w trosce o jej potomstwo.

Natomiast wszędzie w przemyśle, gdzie wielki wysiłek fizyczny nie jest konieczny i gdzie prawo na to pozwala, kobieta stanowi siłę niezastąpioną. Zwłaszcza przy wysiłku równomiernym, stałym i nieuciążliwym występują w pełni właściwe jej zalety, Sprawność, cierpliwość, zręczność i lekkość palców.

W zakładach przemysłowych Warszawy, według sprawozdania okręgowego inspektora pracy za r. 1924, na 70.326 robotników, pracowało 16.821 kobiet dorosłych i 1.586 dziewcząt, czyli ogółem 18.407 osób płci żeńskiej, co stanowi bezmała 25 proc. wszystkich zatrudnionych. Odsetek ten jest w Łodzi znacznie wyższy, dzięki przewadze przemysłu włókienniczego, który wśród pracowników swych liczy połowę kobiet.

W Warszawie zaś, gdzie istnieje tylko jedna wielka fabryka tej gałęzi przemysłu, mianowicie przędzalnia „Wola“, kobiety stanowią 62 proc. ogółu zatrudnionego we włókiennictwie.

Pozatem, pod względem udziału kobiet, na pierwszy plan wysuwają się przemysły; tytoniowy, odzieżowy i chemiczny. W przemyśle tytoniowym spotykamy robotnice rozmaitej specjalności, mianowicie: liściarki, sortujące surowicę, maszynistki, przy obsłudze automatów, wyrabiających tutki (gilzy), bądź napędzających je tytoniem, banderolarki, dozorczyńce pakowaczki i wreszcie pomocnice niefachowe.

W przemyśle odzieżowym odsetek kobiet dorównywa odsetkowi włókienniczemu.

W zakresie przemysłu chemicznego, znaczna stosunkowo liczba kobiet pracuje przy wyrobie per-

fumerji, kosmetyków, środków farmaceutycznych. Poza to drukarstwo i przemysł metalowy zasługują na naszą uwagę z tego względu, iż wbrew utartemu pogładowi kobiety wykonywują w nich również czynności fachowe. W zakładach drukarskich kobiety pracują przy właściwych maszynach drukarskich, jako nakładaczki i odbieraczki, przy ręcznym składaniu arkuszy (falcowanie), oraz przy maszynach do tłoczenia (pręgowanie); prócz tego, jako sortowniczkami i liczarkami wydrukowanych znaków pieniężnych, oraz jako dziurkarki i gumówki przy wyrobie znaczków pocztowych. Zecerki natomiast stanowią zjawisko bardzo rzadkie.

W fabrykach wyrobów metalowych spotyka się robotnice w charakterze polerowniczek, szlifierek, bronzowniczek, sztancowaczek (przy podkładaniu blachy pod sztance automatyczne, lub ręczne, wycinające z niej, lub wyciskające różne przedmioty).

W fabrykach naboju robotnice są czynne jako kontrolerki wyrabiających naboje automatów, a nawet jako tokarki. Należy zauważyć, że automaty do wyrobu naboju są nadzwyczaj delikatne, a do obsługi ich dobiera się pracownice inteligentne, między którymi bywają dziewczęta ze średnim wykształceniem. Dział tokarek, na których pracują kobiety w wielkiej fabryce naboju, wykonywa również robotę bardzo precyzyjną, do której kobiety, według zdania zarządu, nadają się doskonale.

Do inteligentnych robót należy też fotometrowanie, t. j. mierzenie siły światła lampek elektrycznych. W tych samych fabrykach pracuje wielka liczba kobiet przy wszystkich czynnościach prostszych: przy kontrolowaniu wyrabiających lampki automatów, przy pompowaniu powietrza z gruszek żarówkowych, przy stapianiu szklanych gruszek z ich podstawą, na której jest nawinięty drut, przy matowaniu lampek, przy sprawdzaniu ich w tablicy próbnej. Pokazny odsetek kobiet zatrudniają wytwórcie elementów galwanicznych i elektrycznych, zegarków i t. p.; wyjątkowo spotyka się samodzielne galwanizatorki.

Nadto we wszystkich wymienionych i w wielu innych przemysłach zatrudnione są kobiety pracą niefachową, jako t. zw. pomoc, przy sortowaniu, pakowaniu i t. d. Ten charakter pracy kobiecej przeważa, gdyż właściwie wyspecjalizowanie w ogromnej większości zawodów, wyszczególnionych powyżej, również nie wymaga zawodowej nauki, lub dłuższego przygotowania.

Pani inspektorka pracy, Marja Kirstowa, której opracowaniu zawdzięczamy przytoczane szczegóły, zalicza do robotnic wykwalifikowanych te, które zdobywają sobie ten tytuł dzięki uzdolnieniu, nabytej wprawie i pewnym specjalnym właściwościom fizycznym, jak giętkości palców, elastyczności ruchów, wrodzonemu uczuciu estetyki i t. p. Trudno jednak naogół ustalić ściśle kategorie wykwalifikowanych robotnic, podobnie do zawodów istniejących w dziedzinie pracy mężczyzn. Kwalifikacje w tym znaczeniu — o charakterze rzemieślniczym istnieją wśród kobiet niemal wy-

łącznie w zakresie zawodów t. zw. kobiecych, w przemyśle odzieżowym (krawcowe, bielizniarki, modystki, kwaciarki, hafciarki i t. d.). Jednakże cały charakter przemysłu współczesnego wymaga w przeważnej mierze właśnie pracy opartej raczej na wprawie, niż na głębszym przygotowaniu zawodowym; wśród mężczyzn również ten rodzaj robotników liczbowo przeważa.

Przy rozkładzie pracy na proste, powtarzające się czynności, robotnik, czy robotnica są właściwie myśiącym dodatkiem do maszyny, lub dowcipnie pomyślanego narzędzia.

Rozpowszechnienie swe zawdzięcza praca kobiet tej okoliczności, że jest ona powszechnie (z rzadkimi wyjątkami) niżej wynagradzana od pracy mężczyzn, wykonywujących te same funkcje, przy takiej samej wydajności. Przy przeprowadzeniu ankiety inspektorek pracy w 1924 roku natknięto się na fakt, jaskrawo ilustrujący to twierdzenie. Jedną z fabryk pudełek blaszanych, zatrudniającą robotników i robotnice przy tych samych czynnościach na automatach, a zmuszona wskutek ogólnego przesilenia do redukcji personelu, rozpoczęła ją od wydalania mężczyzn, którzy, przy takiej samej wydajności pracy jak kobiety, pobierali stawki wynagrodzenia o 55 proc. wyższe.

Wyjątkowo pobierają płacę równą płacom mężczyzn zecerki, polerowniczkami w fabrykach metalowych i t. p. kategorie robotnic, których wymiar wynagrodzenia opiera się na ogólnym cenniku akordowym i obliczany jest od sztuki. Niezawsze jednak przy tych samych sztukach akordowych robotnice osiągają takie same zarobki, jak mężczyźni. Sztancowniczkami i tokarkami w fabryce karabinów, pobierające, jak wogóle we wszystkich fabrykach państwowych, tę samą normę wynagrodzenia co mężczyźni, zarabiają jednak mniej, gdyż wydajność ich pracy jest o 10 proc. niższa.

Nie zdaje nam się jednak, by to jedynie było powodem zwykłego usuwania w pierwszym rzędzie przedewszystkiem kobiet, jak to twierdzi szanowna autorka opracowania ankiety. Jeżeli w okresach przesilenia kobiety, zazwyczaj niemal zawsze, pierwsze padają ofiarą redukcji, to wynika przedewszystkiem stąd, że pracodawcy w milczącym, lub nawet jawnym porozumieniu z robotnikami pragną zachować możliwość zarobkowania żywicielom rodzin. Inna rzecz, że przez bezwzględne przytrzymywanie się tradycyjnego przekonania, że żywicielem rodziny jest zawsze mężczyzna, popełnia się mnóstwo krzywd w praktyce.

Inspektorka Kirstowa zbadała stan rodzinny 320 z pośród ankietowanych robotnic. Pięćdziesiąt pięć na sto były niezamężne. Lecz z pozostałych 45 proc., mniej niż połowa (62 na 144) podała niski zarobek męża, jako powód, który je skłonił do zarobkowania poza domem. Te były niby w najlepszym położeniu materialnym, choć niewiadomo, ilu z tych 62 mężów było pijaków, lub utracjuszków, których zarobek nie mógł wystarczyć na wyżywienie rodziny, gdyż znajdował inne przeznaczenie. Demoralizacja rodziny jest

w miastach zjawiskiem równie częstym w sferze robotniczej, jak inteligenckiej, co wyraźnie ujawniają badania pani K., gdyż ze 144 mężatek 18, t. j. około 12,5 proc., było porzuconych przez mężów, zaś 24 ustrzymywały, prócz dzieci, pozbawionych pracy mężów. Prócz tego było 36 wdów.

Można stąd z całą stanowczością wyprowadzić

uogólnienie, że dwie trzecie robotnic mężatek utrzymuje swą pracą rodzinę. Z dziewcząt zaś niejedna żywi starych rodziców, lub dziecko nieślubne. W stosunkach proletarjackich kobieta dietna pracuje poza domem zazwyczaj tylko w ostatecznej konieczności, dziewczęta zaś również niejednokrotnie są żywicielkami rodziny.

M. B. - Ł.

## PONAD RÓŻNICAMI PRZEKONAŃ



pewnem wydawnictwie spotkałam wskazanie: „Niechaj braterstwo wasze będzie bez, a raczej ponad różnicami przekonań“. Myśl ta oddawna żyła we mnie, ale nie układała mi się w tak zwięzły i piękny akord słowa.

Rozumiałam od dawna, że przekonania polityczne czy społeczne człowieka, to przecież nie to, co w nim jest najważniejsze dla nas, najistotniejsze, że ważniejszym od tego w dziedzinie politycznej i społecznej „w co“ wierzy człowiek jest to „jak“ wierzy: a więc, czy szczerze, czy głęboko, czy z gotowością poświęcenia i ofiary, a nadewszystko czy bezinteresownie?

Bowiem wszelkie przekonania polityczne lub społeczne, przy których formowaniu się w umyśle i sumieniu grają rolę względy na karierę, stanowisko, dochody, zyski itd. itd. naprawdę przekonaniami nie są.

Zaś każde przekonanie bezinteresowne, każda gotowość na męczeństwo, poniżenie, niedostatek, potępienie przez opinię większości itd. itd. zasługuje na cześć ze strony uczciwego człowieka, bez względu na to, czy wiarę tego bezinteresownego wyznawcy podziela on, czy też jest jego wierzeń zdecydowanym przeciwnikiem.

Ta bezinteresowność w służbie wyznawanych zasad — to jest właściwie to, co w człowieku każdym cenić się powinno, ta jego wiara gorąca, ta jego miłość mocna i żywa, ten szczyry stan psychiczny, który nie pozwala mu w danej chwili inną iść drogą, uwierzyć innym wskazaniom. To też niezawsze zmiana przekonań jest rzeczą konieczną.

Zmiana przekonań człowieka bezinteresownego to albo następstwo ewolucji wewnętrznej, dojrzewania jego umysłu, krystalizowania się jego charakteru albo wynik zmienionych okoliczności zewnętrznych, nagłego posunięcia się ludzkości o kilka kroków naprzód, odmienionego, wskutek kataklizmów dziejowych układu sił politycznych, wymagającego nowej taktyki itd. itd.

Głosiiciel rzeczy mądrych i prostych, Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, rysami, dostępnymi dla każdego prostaczka nakreślił postać starego Maćka Dobrzyńskiego, którego przezwano najpierw „Kurkiem na kościele“, ponieważ często zapatrywania polityczne zmieniał. „Konfederat Barski, z konfederata stał się stronnikiem królewskim i trzymał z Tyzenhausem, podskarbinem litewskim, lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo, Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo“.

Poeta bada przyczynę tych zmian i dochodzi do wniosku, „Może bystry polityk czasu zbadywał i tam szedł, gdzie Ojczyzny dobro upatrywał“...

„To pewna że go nigdy nie uwiodły, ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły i że nigdy z moskiew-

ską partją nie trzymał“ — dodaje poeta, który w bezinteresowność tej orientacji wierzyć nie umiał. Wszystko to jest tak proste, że, zdaje się, mówić niema o czem.

A jednak, w praktyce życia nic trudniejszego nad owo wzniesienie się ponad przekonania, zwłaszcza u nas, przy zapalczowości naszych temperamentów, przy braku poczucia odpowiedzialności za słowo mówione, czy drukowane.

Cóż bo widzimy dokoła?

Gdyby wierzyć zaciekłym partyjnikom, naród nasz składałby się z samych łotrów. Naturalną bowiem skłonnością każdego u nas, człowieka, mającego „przekonania“, jest poczytywać przeciwnika politycznego za łajdaka i zdrajcę kraju. Nawet u pozornie kulturalnych jednostek tendencja ta jest zupełnie wyraźna. Cóż mówić o tych, co do kultury mniej mają prensji.

Z powodu różnicy przekonań rozchodzą się małżeństwa, rwą węzły starej przyjaźni, panuje niechęć między rodzicami i dziećmi, naturalne sympatje dusz, bliskich sobie jednowartością, doznają szwanku.

A wszystko to z powodu właśnie tej trudności wzniesienia się na pewną wyżynę sądu, z której na sprawy ludzkie spoglądać można ze spokojem i bez aktualnych podrażnień. Do tego powszechnego podniecenia jednych przeciw drugim przyczynia się w znacznym stopniu prasa, codzienna prasa, która sama tak mało wierzy w to, co pisze.. ale wierzą jej naiwni i chłoną w siebie sztucznie fabrykowany jad nienawiści wzajemnych.

Pamiętaćby! przecież należało o jednym: ponad różnicami przekonań stać powinna polska myśl państwowa, myśl skupiająca różnorodne żywioły narodowej jaźni, krystalizująca wiry prądów społecznych i politycznych, normująca do pewnej nieprzekraczalnej miary wszelkie walki wewnętrzne.

Bo walki być muszą,

Umieć wnieść się ponad różnice przekonań, to nie znaczy być obojętnym i obojętnie zgadzać się na wszystko. Przeciwnie: „nie zgadzać się — mówi mędrzec hinduski — a nawet, jeśli potrzeba, walczyć, lecz wielkodusznie i z miłością“.

Jakże niedopasowane do naszych wewnętrznych zatargów są te ostatnie słowa! Z nielicznymi wyjątkami małoduszna zawiść, nieczne oszczerstwo, kłamstwo, fałszu swego świadome, plotka złośliwa, bezczelne oszczerstwo, — to są żywioły naszych przekonaniowych bitew.

W formie pociechy mówi się, że tak jest wszędzie. To żaden argument!

Nas stać na to, żeby było u nas lepiej, niż gdzieś indziej.

H. Ceyssingerówna.

TEODORA MĘCZKOWSKA

## PRACA DOMOWA UCZNIA

Niema nauczyciela, któryby nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ciężką jest praca w klasie, której uczniowie nie są na jednakowym poziomie umysłowym, ale mało jest takich, którzy usilnie pracują nad tem, aby nie przyczynić się do wytwarzania tych nierówności, aby bacznie czuwać nad każdym objawem w tej kategorii zjawisk.

Wszak poziom umysłowy klasy na początku roku jest do pewnego przynajmniej stopnia równy, dopiero w miarę posuwania się w pracy ujawniają się różnice. Rozumiemy dobrze że różnic tych nie może nie być, że życie klasy bez nich nie miałyby właściwej barwy, chodzi jednak o to, aby naturalnego różniczkowania się, naturalnego biegu rzeczy nie potęgować przez tworzenie nienormalnych warunków pracy.

Na początku roku większość uczniów staje do pracy z zasobem nowych sił i nawet postanowieniem pilnej pracy; pierwsze lekcje w szkole, zwłaszcza gdy przedmiot jest nowy, dotąd w szkole nie badany, budzą zainteresowanie młodzieży, powodują jej żywy udział w pracy zbiorowej. I zainteresowanie to trwałoby długo, może nawet i stale, gdyby nie to, że pewna lekcja wcześniej czy później nastęrcza takie czy inne trudności, uczeń sam pokonać ich nie może, a do nauczyciela ma rzadko tyle zaufania, by szczerze przyznać się do tego, prosić o wyjaśnienie lub zwolnienie tempa. A gdy uczeń jednej lekcji nie rozumie, pociąga to za sobą fatalne skutki na przyszłość i zazwyczaj kończy się tem, że dalsze lekcje stają się zupełnie niedostępne. W ten sposób powstaje najczęściej w każdej klasie gromadka tych, dla których lekcja nie jest przystosowana, którzy powoli nie biorą w niej żadnego udziału i zależnie od temperamentu zachowują się w klasie biernie, to znaczy nie robią nic, lub stwarzają sobie osobiste życie: czytają pod ławką powieści, piszą listy, wiersze, robią karykatury. Przyczem podkreślić należy, że uczniowie ci to często nie najslabsze jednostki pod względem umysłowym, nie ci, którym natura odmówiła uzdolnień, lecz osobniki bądź o uwadze rozproszonej, bądź o żywym temperamencie. Takie jednostki, pozostawione same sobie bez należytej kontroli ze strony nauczyciela, najprędzej wypręgają się z ogólnego rydwanu i kroczą swoją drogą. Tacy uczniowie przy innych metodach nauczania, prowadzeni przez nauczycieli, którzy nietylko wykładają, ale nawet w najstarszych klasach nieustannie czuwają nad tem, co się dzieje we wnętrzu mózgow, do których się zwracają, pracują najczęściej zupełnie normalnie.

Wykład nauczyciela pociąga za sobą, jako naturalną konsekwencję, przeładowanie materiałem naukowym. Kto ma sposobność przeglądania notatek uczniów, ten niejednokrotnie stwierdza, jaki ogrom materiału zawarty jest w jednej lekcji. Gdyby nauczyciel nie wykladał, lecz pracował razem z uczniami nie zdążyłby powiedzieć nawet czwartej części.

Znany jest mi wypadek, kiedy w ciągu trzech pierwszych lekcji chemji w kl. VII wtłoczono do głów

uczniów pojęcie atomu, jonu, wartościowości, powinowactwa chemicznego, ciężaru atomowego—czy można się ludzić, aby uczniowie w tych warunkach nie narabali wstrętu do chemji? Jeżeli pominiemy nawet zarzut, że pojęcia i zasady, powyżej wymienione, nie mogą stanowić treści pierwszych lekcji chemji, musimy zauważyć, że należyte ich opracowanie wymaga czasu o wiele dłuższego. Lekcji na tak trudne tematy nie można prowadzić w tem samym tempie, co lekcji o własnościach wody twardej i miękkiej.

Niezmiernie ważny moment pomijany jest zupełnie w dotychczasowej współpracy nauczyciela z uczniem, moment, kiedy nowy nauczyciel obejmuje daną klasę i zaczyna uczyć nowego przedmiotu.

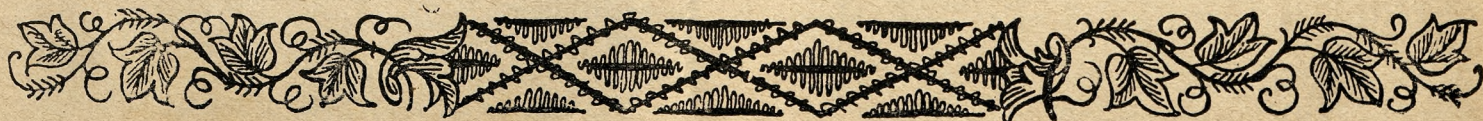
Taki nauczyciel klasy nie zna, staje zatem wobec niewiadomej, ale nad faktem tym przechodzi do porządku dziennego i uczy tak, jak dotąd uczył inne klasy, metodą, którą w dotychczasowej praktyce stale stosował. Nadto, ponieważ dzieje się to na początku roku, kiedy nauczyciel po wakacyjnym odpoczynku jest pełen sił i werwy, przeto uczy ze zdwojoną energią, podając dzieciom lub młodzieży podwójną porcję materiału naukowego.

Spostrzeżenia te potwierdzają notatki uczniów; wystarczy je przejrzeć, aby się przekonać, że na początku roku materiał naukowy, zawarty w jednostce lekcyjnej jest o wiele obfitszy, niż następnie w środku roku. Niepomierne szybkie tempo pracy na początku roku, stopniowo słabnie, aby znów podnieść się przy końcu roku, kiedy z pominięciem wszelkich racjonalnych zasad pracy, dąży się jedynie do wyczerpania programu.

Tymczasem wprowadzeniu do programu klasy nowego przedmiotu powinna towarzyszyć specjalna ostrożność. Ostrożność ta musi być spotęgowana, jeżeli nowy przedmiot obejmuje nowy nauczyciel. Zdawałoby się, że w takich razach zanim nauczyciel rozpocznie normalną pracę, musi poznać materiał ludzki, z którym ma mieć do czynienia, musi wniknąć w duchową i umysłową atmosferę klasy, musi uczniowi zadać szereg pytań, przeprowadzić z niemi rozmowę, która ułatwi zorientowanie się w sytuacji i obranie następnie najodpowiedniejszej dla danej klasy drogi pracy. Takie postępowanie nauczyciela zdawałoby się jaknajbardziej wskazanem, tymczasem z reguły dzieje się zupełnie inaczej: nowy nauczyciel wchodzi do nowej klasy, zaczyna mówić o rzeczach nowych, nie troszcząc się o to, jak uczniowie na tę nową treść reagują. Wydaje się to tem dziwniejszem, że niema w planie szkoły średniej takiego przedmiotu, którego korzenie nie tkwiłyby gdzieś głębiej i który nie zająłby się o inne przedmioty—wobec czego wyszukanie nici wspólnej nie nastęrcza trudności.

Od należytego postawienia wszystkich powyżej omawianych zagadnień zależy z jednej strony możność prawidłowego prowadzenia pracy w samej klasie szkolnej, z drugiej zaś zmiana na lepsze w dotychczasowym sposobie pracy ucznia w domu.

(c. d. n.)



ZYG MUNT KISIELEWSKI

3

## MŁODZIEŃC

(N o w e l a)

O pół do trzeciej popołudniu jeszcze nie do-  
brnęli do Walentkowej.

Wisniewski, po raz pierwszy od rana, usiadł. Jego wąta twarz, zaostzona klinem podbródka, osadzona na wysokim, chudym postumencie korpusu, przypominała figurę wymizerowanego świętka na jałowych pustkach. Kości policzkowe wysadziły się na wierzch, a w zagłębieniach twarzy gnieździły się sino-białe piętna. Dyszał nerwowo, macał się ręką około serca, lecz blado-niebieskie oczy z wściekłą nienawiścią badały widnokrąg, ze wszech stron zaciemniony już nawisłemi brzemionami chmurzysk.

Sowa ze zdziwieniem spojrział na odpoczywającego przyjaciela. Pochłonięty dotąd wyłącznie sobą, pozbawiony wszelkiej inicjatywy, zajmował się tylko sprawą walki z głazami i kosówką. I teraz roztasował się na sąsiednim kamieniu, wyjął tabliczkę czekolady i chrupał ją ze smakiem, ale roztropnie, aby drogocennego pożywienia starczyło na jaknajdłużej. Lecz upłynęło dobrych kilkanaście minut, a Wisniewski wciąż siedział zgarbiony, zły, nieprzystępny.

— Zmęczyłeś się, Heniu? — zaryzykował w końcu Sowa.

— Tobie w głowie tylko zarcie i zmęczenie. Trzecia godzina. Wracamy.

— Dokąd?

— Dokąd? dokąd? Nie wiesz, co to znaczy wracać?

— Ja dawno już myślałem, że z Morskiego Oka nic nie będzie.

— Postaraj się o patent przewodnika — odpalił Wisniewski i, żeby nie okazać najmniejszego znużenia, nagłym ruchem zerwał się na nogi. Podrzucony plecak szarpnął mu łopatki wtył i dziwny skurcz, niby krótkie spięcie, przebiegł poprzez lewe ramię do łokcia. Równocześnie ukłóło go w sercu tak boleśnie, że ledwie stłumił syk. Opanował się jednak i zawrócił na Liljowe.

Świadomość niepowodzenia uczyniła drogę powrotną cięższą nie tylko z powodu całodziennego zmęczenia, ale że było ono bezcelowe. Wracać własnym tropem, borykać się z temi samymi nudnymi pułapkami kosówek, miesiąc ten sam śnieg potę, by potem w schronisku świecić hańbą doznanej porażki!

Już ściemniało się, a na dobitkę jał prosić śnieg. Najpierw opuszczały się kłaczki wiotkie, niby piórka, które ktoś tam w przestworzach strzepuje z odzienia, później, niby białe motyle, spływały już większe płatki, opadając cicho, niewinnie, senliwie. Ale było ich coraz więcej. Leciały z góry, z boku, z tyłu, zewsząd, jak biało-skrzydła szarańcza, pochłaniając resztki światła, lejąc się wreszcie niby mleczna powódź, tem okrutniejsza, że łagodna, przytulna, pieściwa. Rzekłbyś, że niebo bierze w objęcia góry, lecz uściski te białym całunem przysypywały podróźnych. Wszelkie najniklejsze zarysy kształtów mętniały, zacierwały się, w końcu zniknęły doszczętnie. Wsiąkły w to mleko padające lśnienia, refleksy i cienie. Czarnobiała noc zalepiła wzrok, zamazując szlaki i punkty orientacyjne.

Już po kwadransie Wisniewski nic nie rozróżniał dokoła siebie, nie zdawał sobie sprawy z kierunku, czuł jeno chłodne dotknięcia płatków i zimno przenikające od nich tem dotkliwiej, że mróz chwycił

wyraźnie. Sowa postępował teraz krok w krok za nim, macając kijem, aby nie stracić łączności z przewodnikiem. Ale Wisniewski stracił się już sam w sobie. Serce biło mu coraz niespokojniej, a każde dźwignięcie nóg kosztowało ogrom wysiłku. Przed nim, to tu, to tam zapalały się i nikły zielonkawe iskry, a jakieś piekące fale raz po raz przelewały się przez mózg. Ale jako wróg najgroźniejszy pojawiała się uparta, straszliwa żądza, aby usiąść i raz wreszcie wypocząć, lecz on rzucał się na nią z gniewem, kopał ją i pędał precz niby grzeszną pokusę.

Po długim czasie takiej męczarni zatrzymał się, przypuszczając, że już chyba weszli na Liljowe. Nakazał Sowie stać w miejscu i zniknął w tumanach śnieżycy, która zamieniała się w kurzawę.

— Jesteś, Jasiek? — doleciał po sekundzie jego cichy głos tłumiony poświstem wiatru.

— Jestem.

Wisniewski zawrócił w tył.

— Heniek — hallo! — ryczał Sowa w ciemność, lękając śnieg, który mu wiatr wpychał w usta.

Hallo! — nadpłynęło z niezmiernej dali.

Po jakimś czasie wyniknął z nieprzebitych ciemności bezkształtny cień i przerywanym przez wiatr głosem sylabizował:

— Zbłądziliśmy. Musimy wracać.

Wisniewski wsparł się na ramionach Sowy i, śmiejąc się z przymusem, starał się mówić jak najenergiczniej:

— Boisz się, stary? Uszy do góry! Jestem z tobą.

— Nie boję się, ale możebyśmy odpoczęli.

— Dobrze. Odpoczniemy na Liljowem. To już z pewnością blisko. Zeszliśmy nieco w bok,...

Sowa z przerażeniem zauważył, że z ust Wisniewskiego bucha gorączkowy zar. Chciał go nawet ująć pod rękę, ale Wisniewski odtrącił go zlekka.

Poszli ukosem na lewo, gdzie, jak im się zdawało, miało się znajdować Liljowe.

Wisniewski doznawał wrażenia, że taśmy plecaka wzerają mu się w kości jak rozpalone węże. Czyjeś pięści grzmociły go w piersi jak w kowadło. Konieczność poruszania nogami stała się męką tak wyczerpującą, iż marzenie o spoczynku owiewało go urokiem błogostanu, niedającego się porównać z żadnym innym wyobrażeniem o szczęściu. Wiatr jęczał i ciskał w twarz całemi garściami szpileczek śniegowych, a przed oczyma tryskały iskry wibrującemi kaskadami. Mróz wczepiał się pazurami do samego rdzenia kości, to znów fale gorączki lizały je ogniami.

Nagle w niezgruntowanych przepaściach nocy stanęło przed Wisniewskim widmo lśniącej zielonem migotem i zatarasowało mu drogę. Poznał je natychmiast i trwoga śmiertelna zatrzęsa jego duszą.

— Zlituj się, Kościelcu! — westchnął struchlały: Czemu grozisz mi swym łbem straszliwym? Ustąp, olbrzymie, cofnij się z drogi mego życia.

— Spokorniałeś, zuchwalcze! — zdał się dźwięczeń urągłiwie granitowy cień. Ty ustąp!

— Jakże ci ustąpię, skoro tędy wiedzie droga do mego domu.

— Przejdź przezemnie!

— Jakże przejdę przez ciebie, skoro opuściła mnie moc? Oto już iść nie mogę.

Na samym wierzchu, na jego trójgraniastej głowicy rozgorzał ogień czerwony. Masyw góry zdawał się swym ostrzem chylić ku pierścionom młodzieńca.

— Miłosierdzia!

— Gotuj się!

Żarząca głowica jęła się z przerażającym spokojem zbliżać, nasuwać, aż swym płonącym czubem ugodziła w serce.

Jezus Marja! — krzyknął Wiśniewski i upadł.

Potworne widmo zgmiotło mu serce, zasiadło na piersiach, miażdżyło kości.

— Spędź go, Jasiu! — och matko! — ratujcie! jęczał Wiśniewski.

Sowa przyskoczył i ukłękł przy nim. Widział tylko okropny ruch głowy, taczającej się w obie strony, jakby usiłującej uniknąć ciosu. Wydobywały się z niej postękiwania i półsłowa, pogryzione i odarte z dźwięku, tak ciche, że niepodobna było ich rozróżnić.

— Heniu! Heniu! Co ci jest? Czy mnie słyszysz? Parzemów!

Dygocącymi palcami wyjął zapalki i, tworząc z obu dłoni kaganek, usiłował je zaświecić, ale śnieg i wiatr natychmiast gasiły ogień. Dopiero po wielu próbach udało mu się jedną zapalić. Na nikłą chwilę blask rozproszył ciemności, wydzierając im głowę Wiśniewskiego i ukazując wywrócone białka oczu oraz usta spalone i czarne. Jakies charczenia i szepty wydostawały się przez odsłonięte, wyszczerzone szczęki. Sowa nie pojmował, jakim sposobem w przeciągu paru godzin zniknęły z tej twarzy mięśnie, zostawiając tylko skórę i kości. Gorączkowo jął leżącemu odpasywać plecak. Wiśniewski poddawał się z martwą ociężałością. Kiedy Sowa miał twarz tuż nad jego ustami, płonące wargi dotknęły jego policzka. Zaszlochał i płacząc odwiązywał taśmy, a lzy kapały na głowę przyjaciela. Otworzywszy, zdjął narzeczony plecak, przetrząsnął go, szukając jakiegoś narkotiku, lekarstwa, wskazówki, co czynić. Nie znalazł nic.

Śnieg padał bez przerwy, miarowo, ciągle. Czasem buchnął wiatr, zasyczał, zajęczał i cichnął.

Sowa przerażony myślą, że chory zmarznie, ściągnął rękawice i zaczął go trzeć. Wiśniewski poruszał się, drgał, czasem jęknął, ale nie wyrzekł już ani słowa. Sowa tarł go, próbował podnieść, wołał do niego, błagał go i zaklinał. Wreszcie usiadł i łkanie bezsilne, pomieszane z wyrazami modlitwy, wyrwało się z jego piersi. Nie wiedział, co robić w tej mroźnej ciemności, zamykającej go niby loch więzienny, z którego niema ratunku. Porwał się, aby szukać drogi, ale wrócił natychmiast, obawiając się, że nie odnajdzie Wiśniewskiego. Ukłękł znowu przy nim i tarł go zlodowaciałymi dłońmi. Naraz wydało mu się, że z posród niewidzialnej toni wyłaniają się jakieś paszce o białych, kłapiących zębach, to znów jakieś cienie chyłkiem przemykały dokoła. Przerażony krzyczał rozdzierającym głosem i wyciągał ręce błagalnie do nieba.

Ale noc, śnieg i wiatr nie przepuściły otuchy.

Upadł na duchu. Wyczerpanie wdzierało się w sam ośrodek serca, gdzie mieszka ta żywa miłość i chłód obojętności ścinał krew w żyłach. Obojętny stawał mu się przyjaciel, i on sam sobie, i ta niemiłosierna, bezcielesna pustka. Ze szczelin zrozpaczonej

duży wymykał się śmiech szyderczy, dziki, obłąkany i unosił się jako mądrość jedyna ponad tą sprawą, która stała się nagle, jak niespodziewana śmierć.

Tarł tylko, wciąż tarł ciało Wiśniewskiego. Co jakiś czas przykładł mu mechanicznie dłoń do ust, aby się przekonać, czy jeszcze drgają.

Naraz przejęło go nieprzewyciężone pragnienie, aby położył się obok niego, tak równiutko, głowa w głowę i niechby ich tak śnieg na wieki otulił. Tak czy owak nie wydosaną się stąd już nigdy. Wziął rękę przyjaciela w swoją dłoń spuchniętą i zgrabiłą, położył i wyciągnął się wzdłuż niego i pozwolił spływać mroźnym, pieśczołliwym pocałunkom śniegu. Rozkoszne znużenie zamknęło mu powieki. W półśnie mówił: — „Nie płacz, Heniu. Niebawem zajdzie cisza i sen ostatni. Będziemy wolni od bólu i nie-szczęścia. Śpijmy, bracie“. — Nagle rozdarł obszary krzyk tak przeraźliwy, że zabrzmiał niby trąby mo-siężne aniołów, wzywające na Sąd Ostateczny: — „Jasiu wstań! Jasiu! Jasiu! „Sowa skoczył na równe nogi. Był to głos matki. Ale skąd ten głos? Przypomniał sobie obietnicę daną matce przed odjazdem w Warszawie, że wróci prędko.

Jęk Wiśniewskiego przywrócił mu przytomność. Ukłękł nad nim i rozcierał jego twarz, ramiona, nogi. Ręce odmrożone i opuchnięte ciążyły mu jak dwa kloce, ale tarł wciąż. Czynił to machinalnie, nie jak żywa, świadoma istota, ale jak nakręcony aparat. Dotychczasowe życie odpadło jak odrębne toporem. Zachował wprawdzie jeszcze o niem niewyraźną pamięć, ale wydawało mu się ono czemś dalekiem, obcym i drobnym co się wspomina z obojętnością i lekceważeniem.

W jakiejś chwili nieprzebita opona ciemności jęła się wydymać, rozszerzać i rozsuwać, a śnieg padał coraz rzadszy, węższy, cieńszy, aż ustał zupełnie. Noc rozchylała swój płaszcz. Mleczna, mdła jaśń sączyła się zewsząd i za chmurami zamajaczył księżyc niby tarcza gipsowa.

Sowa podniósł głowę. Jego krzyż i stawy zachręściły, jak u szkieletu. Obumarłym spojrzeniem usiłował rozpatrzeć się i dotrzeć do istoty zmian, jakie zachodziły, ale stępieła świadomość nie potrafiła już postrzegać. Wrócił zatem do swej roboty straszliwej i tarł ciało, które przestało już dawać znaki życia.

Niemniej tarł je usilnie kłodami rąk.

Naraz promień księżycy ugodził wprost w twarz Wiśniewskiego. Leżała pod nim sztywna, koścista, zastygła. Tylko białka oczu mignęły upiornie z pod powiek. Światło księżycy wślizgnęło się w zmordowaną duszę Sowy, cucąc w niej nadzieję. Zerwał się, aby rozpoznać świat ten przemieniony, inny, nie do pojęcia i ból szatański czarnym swym grotem rozdarł mu wnętrzności. Hen w dole, lśniły bielejące głązy schroniska na Hali Gąsienicowej.

Zerwał się ruchem obłąkanym, jakby jednym susem zamierzał wskoczyć między ludzi i zawołał:

Ratunku! hej! bywaj! Heniek umiera — bywaj hej, bywaj!

Zdawało mu się, że krzyk jego potężny, powinienby dolecieć na kraj świata i zbudzić ludzkość, aby przybywała na pomoc swemu dziecku. Ale cisza dźwięcząca tajemnicą zalegała góry i niebo. Więc krzyczał znowu, wyszarpywał głos, który ostrogami wrzynał się w gardło, miotał rękami, szlochał i wyl.

W kamiennem milczeniu przysłuchiwał się temu pobliski Kościelec, Świnica. Pośrednia turnia i Beskid, a na Liljowem leżało rozciągnięte, nieme jak Tatry, zwarzone mrozem ciało Wiśniewskiego.

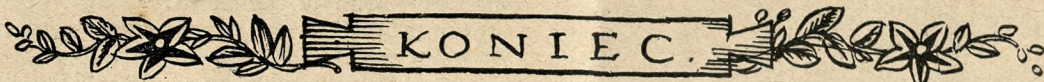
Sowa pojął nareszcie próżność wysiłku. Ukłąkł jeszcze, aby zbadać, stwierdzić ostatecznie fakt tak niepodobny do prawdy, a najprawdziwszy ze wszystkich, czego doznał w swem życiu. Nie było wątpliwości — serce Wiśniewskiego przestało bić. Umarł. Ucałował jego lodowate czoło, uczynił na niem znak krzyża, a przy głowie wbił kij narciarski.

Była trzecia godzina. Wyciekły zeń wszelkie wzruszenia, niby resztki krwi, zostawiając po sobie pustkę i śmiertelne zubożenie. Zostałby tu najchę-

niej, ale niewolno. Trzeba spełnić jeszcze ostatni obowiązek i pójść do tych tam na Hali, aby spieszyli z ratunkiem... Uśmiechnął się do siebie błędnym uśmiechem. Na ratunek...

Jeszcze raz spojrzął na przyjaciela. Przeżegnał najpierw jego, potem siebie i co sił, taczając się, wywracając, biegł do ludzi z wieścią o śmierci zuchwałego młodzieńca. Gdy około szóstej z rana doznał do schroniska znalazł jeszcze tyle siły, żeby kijem wybić szybę w oknie, bo poduszki odmrożonych pięci uderzając o drzwi nie wydawały odgłosu. Na widok przerażonej twarzy ludzkiej zaskomlał: Na Liljowem — Heniek — sam, I zemdlął. Pod wieczór zniesiono na Ha-

lę Gąsienicową zmarznięte zwłoki Wiśniewskiego.



## SPACER Z JOANNA

(Nowela)



Kiedy młody inżynier, Roman Wisłocki wybrał się do Zawilinie, żeby obejrzeć łąki, które miał osuszać, gorąca pogoda lipcowa popsukała się zupełnie. Jadąc bryczką ze stacji pod drobnym, siekącym deszczem, myślał z przygnębieniem, że ten dzień opryskliwy i chłodny, tak niepodobny do niedawnych, bardzo gorących i błękitnych, był jak cięcie noża, odgradzające go bezpowrotnie już od tegorocznego lata. A gdy nagły podmuch wiatru odepchnął w bok strugi wody i kłębiące się nad łąkami mgły i pokazał mu Zawilińce, leżące w dole nad rzeką, Roman pomyślał, że wolałby tu wcale nie przyjeżdżać. Ale odrzucił skwapliwie. odepchnął poprostu tę myśl, gdy w porze objadowej zjawiła się w jadalni nieco spóźniona panna Joanna Zawilińska.

Już był Roman pogodził się zupełnie z tem, że jedno z pięciu miejsc pozostanie puste. Już przejrzał, już nauczył się niejako na pamięć wszystkich obecnych osób, gospodarzy domu, pary przygasłych, białych, jakby nagle przez starość zaskoczonych ludzi i siedzącego na szarym końcu stołu czerwonego, pochmurnego rządcy. Już zapoznał się z małą, duszną jadalnią i pomyślał, że cały dom jest jak ona — spokojny, nudny z przyczajoną gdzieś, nieuchwytną a narzucającą się niewyraźnie troską. Aż nagle posłyszal za sobą ciche kroki i weszła Joanna. Czarną kresą wysokiej, cienkiej postaci przecięła bielony pokój. W szcęk łyżek po talerzach, w nudne brzęczenie much, w zapach jabłek, jedzenia i wędzących w dzbanku lewkonij, w żucie milczącego rządcy, w tę jakąś niejasną troskę rodziców wtargnęła, jak połyskliwa czarna ćma.

— Pan Wisłocki — nasza córka — przedstawił pan Zawiliński. Roman wstał, żeby ją przywitać.

Joanna zatrzymała się w połowie pokoju. Roman podszedł do niej z wyciągniętą do uścisku ręką i został porażony plamami jej nieprawdopodobnie wielkich, ciemnych oczu. Nim zdążył zdumieć się ich wielkością, ujrzał nagle jak z ich głębi wypęzło, zaszamotało się ogromne zdziwienie, czy przestraszona rozchyliła trochę usta, jakby chciała coś powiedzieć, nie powiedziała nic, spuściła powieki, uści-

snęła mocno i prędko podaną sobie rękę, okrążyła stół i siadła na swoim miejscu. Usiadła zbyt prędko jakoś, sztywno, jakby nieprzytomnie. Siadając, nie cofnęła wyciągniętych nieco przed siebie rąk i Roman usłyszał, jak stuknęły o stół cienkie, suche kostki. Usiadł nieco zmieszany i z uczuciem, że dostał się do jakiegoś niesamowitego domu. Dla orjentacji szybkim spojrzeniem dotknął twarzy państwa Zawilińskich. Pan miał oczy wlepione w córkę, a po drobnej, zwiędłej twarzy pani pełzał straszliwy niepokój. Rządca ochrzaknął i nałożył sobie na talerz porcję mięsa. Po siatce, wstawionej w okno zamiast szyby, krążyły muchy, napełniając milczenie monotonnym brzęczeniem.

Joanna odsunęła śpiesznym ruchem ręki talerz z zupą i z nad kudłatego pęku lewkonij utkwiała w Romana swoje ogromne błyszczące oczy. Chciał odpowiedzieć jakoś na to krzyżące spojrzenie. Uniósł powieki i zadrzał prawie, skurczył się w sobie, cofnął przed przeraźliwą głębią tych tragicznych czarnych dołów. Uwagę Romana od Joanny oderwała pani Zawilińska, podając mu salaterkę z sałatą. Nakładając machinalnie na talerzyk stos żółtawych liści, Roman błagał ich wszystkich, w myśli o litość, o umożliwienie powrotu do zwykłej codzienności. Milczenie przerwał stuk odsuwanej krzesła. Joanna zerwała się i bez słowa wyszła z pokoju. Na progu zachwiała się nieco, uderzyła wyciągniętą ręką o ramę drzwi i runęła gdzieś z pochyloną głową wgłąb dalszych pokoi. Pani Zawilińska zaszamotała się na krześle, oparła o stół żółte, wywiedłe palce i ruchem spłoszonego ptaka wionęła za córką.

Roman spuścił oczy z uczuciem najwyższej przykrości. Usłyszał gdzieś w pobliżu lekki stuk zębów o brzeg szklanki i bulgotanie wody. Gdy odważył się wreszcie obejrzeć, pan Zawiliński bardzo biały, ale spokojny usiłował się uśmiechnąć. — Pan wybacz — zamamrotał — krzywiąc nieposłuszne wargi — nasza córka nie czuje się zupełnie dobrze.

Roman przyjął to tłumaczenie w głębokim milczeniu. We trzej już z rządcą dotrwali do końca tego obiadu. Przy herbacie pojawiła się pani. Miała wypęzłe zasmucone oczy, zaczerwienione od łez. — Joasia kazała pana bardzo przeprosić — powiedziała cicho — jest trochę chora, A po chwili dodała w dużym po-

mieszaniu i jakby ze wstydem: nasza biedna córka przeszła przez wielkie nieszczęście.

\* \* \*

Z uczuciem ulgi Roman znalazł się wreszcie w gościnnym pokoju. Gdy przechodził obok jednych drzwi, zdawało mu się, że słyszy cichy szloch.

Deszcz przestał padać. Wiatr bardzo chłodny, pełen zapachu mokrych kwiatów, targał ramą okna. Za pogniecionym jaskrawo zielonym trawnikiem szamotała się ciemna ściana drzew ogrodowych. Gdzieś daleko stuknęły zamykane drzwi. Żadne kroki nie zbliżały się do jego pokoju. Roman usiadł w jakimś fotelu pod oknem i zaciągnął się papierosem ciągle w zdumieniu nad osobą panny Joanny. Czego od niego chciała? Jakie było to jej nieszczęście? I co z tem wspólnego miał on, który widział ją pierwszy raz w życiu?

Pokój oddawna widać nieużywany pachniał niezdolnie starzyzną. Roman pomyślał o nieprzymakalnym płaszczu, wiszącym w przedpokoju, od którego dzieliło go parę kroków i postanowił, nie tracąc czasu i nie szukając nikogo, obejrzeć łąki. Niskimi drzwiami przez jakiś ogródek kwiatowy, sponiewierany przez wiatr i deszcz, wydostał się na drogę, idącą do czworaków i dalej poza czworaki na łąki, poprzerynane rozsypującymi się groblami.

Tu wreszcie głęboko i radośnie nabrał w płuca wilgotnego powietrza. Wiatr bez żadnej przeszkody gnał świszcząc, aż do lasu siniejącego w oddali poza zbierającą się mgłą. Po drodze chwycił i rzucał w ruch gęstą kępę splełanych wysokich zielsk. Świeża gorycz piołunu, ostry zapach mięty rozlane wodą, rozpryskiwane przez wiatr, chłodną falą uderzały w nozdrza. Wielki, szary, pokraczny młyn trząsał się nad rzeczką, której wartka woda miała barwę ołowiu. Nareszcie można było odrzucić zморę obiadu, ucieszyć się największą radością ruchu.

Roman poszedł przed siebie wąską, nierówną groblą, pełną garbów i wyrw, w których z bulgotem wylewały się z pod ciemnych brył torfu małe strużki wody. Przeskakiwał te kałuże, deptał elastyczne, uginające się grudy, śmigał laską po wysokich, szeleszczących suchu trzcinach. W każdym mięśniu czuł rozprężającą się słodko radość życia. Cieszył się z dziur napełnionych wodą, z ciemnych zarośniętych stawków, z dzwonięcia opadających kropli, z pachnących, ostrych dotknięć i przeciągłego gwizdu wiatru. Skakał z kępy na kępę, zapadał w rozmokłą ziemię w wesołym podnieceniu.

Gdzieś na jakiejś bocznej, gubiącej się w mule odnodze grobli zwrócił jego uwagę mały, czysty, zaślakany widać od rzeki strumyczek. Wyskakiwał rano z pod torfu z radosnym bulgotem, sączył się przez kamienie, rozczesywał rdzawe wodorosty i przepadał wśród traw. Roman zapatrzył się w jego małe zwinne fale i nagle przy dużym białym kamieniu dojrzał coś szczególnego. Pochylił się z ciekawioną, zanurzył rękę w zimnej żywej wodzie i z wielkim zdumieniem wydobyl złotą, małą bransoletkę. Otarł ją chustką z wody i zielonkawego osadu, popatrzył zdziwiony na niewielki kruchy przedmiot i usłyszał wyraźnie suchy stuk cienkich kostek rzuconych na stół małych, bolesnych rąk. To tej... Joanny — pomyślał z nagłą niechęcią.

Zdumiał nad tą wyłowioną z wody złotą zagadką. Kiedy mogła zsunąć się z ręki Joanny? Jak długo tam leżała niedostrzeżona? Co miał z nią zrobić?

W pierwszej chwili z obawy przed jakąś nową niesamowitą historją, chciał rzucić tę bransoletkę zpowrotem do wody, po namyśle jednak postanowił ją wręczyć panu Zawilińskiemu, przy urzędowej rozmowie o planie osuszania łąk. Gdy wsunął ją do kieszeni płaszcza i odwrócił głowę, dostrzegł zdaleka kogoś, idącego dużą groblą. Przyjrzał się lepiej temu komus i poznał pannę Joannę.

\* \* \*

Joanna szła zwolna ze spuszczoną głową, zasunawszy ręce w kieszenie gumowego płaszcza. Idąc, cobytowała się na nierównym gruncie i na wietrze. Roman opuścił swoje stanowisko na bocznej grobelce i poszedł naprzeciw niej. Dopiero zobaczył, jaka była straszliwie piękna pod niskim ołowianem niebem, wprawiona niejako w ten dzień, ujęta w ruchome ramy falujących zielsk. Z pod zielonej siatki wiatr wychwytywał jej fruujące kosmyki czarnych włosów i dotykał niemi białych policzków i bladorożowych przesłonicznie wykrojonych warg. Oczy jej były jeszcze większe i błyszczące od płaczu. Zauważył, że jej małe nogi w płytkich panfotelkach były aż powyżej kostek oblepione błotem.

Dojrzała go już zdaleka. Przystanęła na chwilę, zachwiała w objęciach wiatru i podeszła wprost do niego, ze śladem uśmiechu i nieco silniejszym śladem rumieńca na twarzy. Roman przystanął. Panna Joanna podeszła zupełnie blisko i dotknęła go swemi ogromnemi oczami.

— Pan wyszedł obejrzeć łąki? — Po raz pierwszy usłyszał jej jasny, niski głos.

— Tak, odpowiedział Roman, nie wiedząc dobrze, jak ma się zachować, chciałem zobaczyć te łąki.

Panna Joanna spuściła oczy. Twarz jej przybrała śliczny wyraz zwykłego panińskiego zakłopotania.

— Przepraszam pana za moje zachowanie się w czasie obiadu — zaczęła niepewnie — ale gdy tak nagle pana zobaczyłam... Zaplątała się zupełnie w gąszczu jakichś skrępowanych, cichych słów. — Przypomniał mi pan kogoś, powiedziała wyraźniej. A po chwili dodała ze ściąganiem brwi, z widocznym trudem — przypomniał mi pan mojego narzeczonego. Odetchnęła głęboko, jakby po wielkim wysiłku.

— Pan jest do niego niezwykle podobny — mówiła dalej już z większą łatwością. I po chwili dodała jakby w tonie wyjaśnienia: mój narzeczoną, Stefan Zaremba, utonął w tej rzece prawie rok temu w dzień taki jak ten. Zrobiła ręką kolisty ruch, jakby wpisując weń to wszystko — ciężkie ołowiane niebo, wiatr, wodę, chyboty splełanych traw.

Roman poszedł w milczeniu obok niej, starając się z całej siły odepchnąć od siebie tę jej niepotrzebną, niepokojącą mękę. POCO mówiła mu to wszystko? Czem jej mógł odpowiedzieć na to nagłe zwierzenie. jeśli nie milczeniem? Ale chciał i nie mógł odejść, Musiał iść z nią i słuchać jej okrutnie spokojnych słów, musiał zaciskać zęby, żeby utonąć znów w tych straszliwych olbrzymich oczach.

Panna Joanna umilkła, ale milczenie jej nie przyniosło Romanowi ulgi. Przeciwnie, nie dawało się unieść wiatrowi, waliło się na Romana okropnym ciężarem.







Ze spuszczonei oczami szedł obok niej i patrzył na szerokie liście łopianu, na ząbkowane srebrzyste pęki piołunów, zupełnie mokre i otrząsające bryzgi kropel na cienkie pończochy i pantofelki panny Joanny. Ta dziewczyna zaziębi się na śmierć — pomyślał — właściwie powinienem odprowadzić ją do domu.

Nagle panna Joanna przystanęła. Rozchyliła dłońmi kępy rozhybotanych nadbrzeżnych zielsk. Utkwiła ogromne zrenice w ciężkiej ołowianej wodzie. Rzeczka rozszerzała się właśnie w tem miejscu. Gdzieś, w głębi przepadał wartki pracowity nurt. Zwierzchu rozlewała się spokojna, cichutka fala. Roman stanął obok i spojrzał na Joannę. Była obrócona do niego profilem. Kosmyczek włosów głąskał kącik jej malutkich ust. Ołowiany pobłysk wody odbijał się w wielkich przyczajonych oczach. Znów zdumiał się długości i falistości jej rzęs. Jakaś zabłąkana kropła spływała od niewidocznej skroni po gładkiej linii policzka. Roman zachłystnął się jej pięknosci. Ze ściśniętym sercem nadsłuchiwał tego, co powie.

— To tu — powiedziała wreszcie Joanna bardzo spokojnie. A po chwili dodała nieco ciszej: nigdy nie miałam dość siły...

Wiatr, zaplątany w niedaleką kępę trzcin, wydoستاł się z niej z przeciągłym świstem i wybuchnął nowym hałasem. Młyn zdaleka trząsł się i dudnił. Roman, rzuciwszy wzrokiem przed siebie, zobaczył, że niebo zrobiło się jeszcze ciemniejsze. Panna Joanna nie odrywała oczu od wody.

— W kąpielu? — spytał Roman prawie szeptem. Już łżej było, kiedy mówiła.

Joanna wstrząsnęła głową.

— Nie, nie w kąpielu — skądże — dzień był zupełnie taki, jak dziś, bardzo chłodny. I nagle, spojrzawszy na Romana, powiedziała twardo: Stefan zginął przeze mnie.

Roman zadławił się prawie nowym szarpiącym lękiem. Zachybotał się w miejscu, czekając na dalszy ciąg. Dalszy ciąg wypowiedziała panna Joanna jednakowym wyraźnym tonem.

— Zawsze lubiłam takie dni, jak dzisiaj, biorące się niewiadomo skąd, przecinające lato. Taka byłam niemi zawsze podniecona. Nie mogłam nigdy usiedzieć w domu. W zeszłym roku był właśnie u nas Stefan.

Polecieliśmy oboje na łąki. Warjowaliśmy prosto od wiatru. I wtedy tu na brzegu... widzi pan, tu jest właśnie głębia — u nas nazywają to bełk — taki dół — bierze się raptem w dniu niewiadomo dlaczego — spadła mi z ręki bransoletka. Wprost do wody. Krzyknęłam. Stefan schylił się, chciał ją pochwycić. Poślizgnął się i zatoczył do rzeki. Nie wiem, jak to się stało. Umiał pływać, przecież umiał pływać — dodała z przyciskiem, splatając przed sobą palce. Może płaszcz, może jakieś zielska. Nie wiem. Doktor mówił, że miał słabe serce. Woda była bardzo zimna, a my byliśmy oboje zgrzani. Stałam na brzegu i nie mogłam krzyknąć. Nie mogłam krzyknąć.

Nikogo nie było w pobliżu — w taką pogodę... Az dopiero, kiedy... Zamilkła, z cichym chrzęstem wylamywując palce. A z tą bransoletką, dodała po chwili nagle zdławionym głosem, nie wiem co się stało.

Roman zadygotał cały pod ciężarem jej opowiadania. Uczuł nagle, jak świszczący wiatr uderza wprost w jego ściśnięte serce. Ta straszliwa obca dziewczyna wciągnęła go w szaleńczy krąg swojej męki. Szybko przebiegł w myśli tajemniczą drogę od tego brzegu do radosnego bełkotu strumyczka. Skurczonemi palcami w kieszeni płaszcza namacał i pochwycił bransoletkę. Wyrwał ją, podniósł nagle wysoko, dziwnie bladą na tle ołowianego nieba.

— Czy to ta? — zapytał prawie dziko.

Panna Joanna krzyknęła okropnym głosem. Zachwiała się nagle tak silnie, że Roman machinalnie chwycił ją w ramiona, żeby nie wpadła do rzeki. Miał teraz tuż blisko jej krzyczące, olbrzymie, czarne oczy.

Trzęsała się cała i trzepotała w jego objęciu, śmiertelnie blada i krucha. Ustami chwytała powietrze i tłumiła potok jakichś szybkich, splątanych, bezładnych wyrazów. Czuł straszliwy łomot jej serca. Wreszcie wśród niejasnego bełkotu udało mu się pochwycić parę słów. — Wiedziałam, wiedziałam — powtarzała panna Joanna.

— Co? Co? — Starał się zagłuszyć młyn, wiatr, jej obłęd.

— Wiedziałam, że przyjedziesz, że wrócisz... Stefku — wybuchnęła nareszcie. Czuł, jak jej cienkie ramiona zaciskają się koło jego szyi. Usta musnął mu gorący, utrudzony oddech. Tracił zupełnie przytomność. Panno Joanno, panno Joanno — powiedział parę razy zupełnie bezradnie. Nie usłuchała go. Przywarła do niego całym ciałem, całą druzgoczącą siłą swojej męki, radości i szaleństwa. O Stef... — o Stef... powtarzała wśród radosnych łkań.

W ołowianem niesamowitem świetle ujrzał przekreślony pasemkiem włosów drżący, napięty łuk jej prześlicznych małych ust. Przymknął oczy i schylił głowę po ten kradziony, śmiertelny pocałunek.

Nic na świecie nie mogło być gorszego od okrutnej, bolesnej słodczy tej potępionej chwili. I to, co przyszło potem, nie było najgorsze. Tylko z sercem Joanny, tętniącym tuż prawie na jego piersi, stało się najpierw coś okropnego. A potem stało się coś także z jej ustami. Raz jeszcze na odchylonej w tył twarzy zobaczył jej złowrogie ogromne oczy, z których wiatr zdzierał ostatni krzyk. Potem nic już nie widział. Pochwycił ją na ręce i biegł groblą przed siebie, potykając się o kępy traw i bryły torfu, z łomotaniem serca w gardle — z wszystką wichurą tego dnia na oczach i na piersi. Nie wiedział, jak znalazł się przed zawilińskim dworem. Ktoś otworzył przed nim jakieś drzwi.

Przeszedł jeden pokój, drugi pokój i, nie widząc, wykrzywionych, dygoczących twarzy państwa Zawilińskich, złożył na jakimś łóżku trupa Joanny.

K. F.



PAOLO MANTEGAZZA

9

# JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

Emma do Williama

San Terenzo, 10 kwietnia 18..

Williamie, drogi mój Williamie, czemuś tu przybył? I czemu kochasz mnie tak bardzo? — Tak, powiem ci wszystko, daj mi tylko uspokoić się nieco, bym miała odwagę odkryć Ci prawdę. Lecz nim otrzymasz mój list, przysięgnij, że nie przyjdiesz. Gdybym Cię ujrzała, o mój bracie, nie miałabym już siły.

Bądź cierpliwy, Williamie. Wszak jesteś już blisko mnie. Nie, nie kochałam i nie kocham nikogo, możesz więc jeszcze kilka godzin zaczekać. Przyrzekam i dzisiaj napiszę Ci wszystko. Pozwól chwili spokoju swej Emmie. Jeśli prawdą jest, że ją kochasz, miejże wzgląd na nią, słabą i nieszczęśliwą, ledwo wyszłą z ciężkiej choroby. Pozwól jej zebrać siły, wszystkie siły, by mogła powiedzieć, dlaczego uciekła z Londynu.

Do widzenia, mój przyjacielu, mój wierny przyjacielu.

Emma do Williama

San Terenzo, 20 kwietnia 18..

Williamie, drogi mój Williamie, mamże Ci mówić dla kogo bije me serce, po tylu miesiącach wspólnej niedoli, po tylu wspólnych cierpieniach, potrzeba Ci słów, byś wiedział, kogo kocha biedna twoja Emma? Czyż nie wiesz tego sam, lepiej odemnie? Ale Emma nie może być twoją, ani czyjąkolwiek: świętą przysięgą związana, żyć musi sama i sama umrzeć. Krew moja jest przeklęta, skazana fatalnie na unicestwienie się w sobie, i cała nasza miłość, wszystkie siły ludzkie razem wzięte nie zdołałyby zmienić tego wyroku nieubłaganego, wobec którego twoja Emma schyliła dawno już głowę, zanim jeszcze cię znała.

Ojcu swojemu przysięgałam, że nie zostanę niczyją żoną, gdy nie wiedziałam, co to miłość, gdy serce moje przepelniło uczucie dziecięce. Teraz wiem, czym jest miłość, wiem, że kochać to więcej, niż żyć; lecz ja nie będę nigdy żoną, ani matką, nigdy nie zdołam złamać swej przysięgi.

Och, czemuż, mój Williamie, los okrutny postawił Cię na mojej drodze, czemu pokochałeś mnie, tak bardzo pokochałeś? Ja sama dzwigałabym cały ciężar swej boleści, sama zatraciłabym się w bezkresie swej samotności, dumna ze spełnienia swego obowiązku, i dochowania wierności prochom swego ojca! I czemu pociągnęłam Cię w otchłań fatalizmu?

Wysłuchaj mnie, Williamie, i zobacz, czy jest cierpienie, równe mojemu. Nie wiem, czy przyszedłam na świat, jak wszyscy, płacząc, lecz to pamiętam, że dzieciństwo moje było bezustannym płaczem, że rosłam wśród łez, a najbardziej gorzkie z nich wylałam już jako dorosła kobieta. Żyłam otoczona cierpieniem, które zmieniając się ciągle, nie sprawiało mi zmęczenia.

Bawiłam się ze starszemi siostrami, lecz nade wszystko kochałam dwunastoletniego brata: nie mogłam wprost żyć bez niego, a on zachorował i po kilku miesiącach zmarł. Pamiętam siostrzyczkę, Jenny, anielsko piękną, zawsze biało ubraną, — ze łzami w oku, nigdy nie wysychającą. I ona umarła, gasnąc powoli.

W domu naszym nie śmiano się nigdy. Kiedy bracia moi hałasowali, zjawiał się ojciec niezmiernie poważny i nakazywał ciszę. Zawsze był ktoś chory, kogo nie wolno było niepokoić. Nawet przy stole

milczeliśmy zwykle, przyzwyczajeni do jedzenia tak, aby nie szczerkać nożem o talerz.

Ze wszystkich dzieci pozostałam, widzisz, ja jedna, ostatnia, a zjawiwszy się na świat, wydarłam życie matce, której nigdy nie znałam. Wychowała mnie ciotka Anna, a kocham ją tak bardzo, gdyż, jak mi mówiono, przypomina zupełnie moją matkę.

Ojciec był również chory, często kaszlał i pamiętam, że przez wiele zim jeździło się do Nizy, lub do Pizy. Raz nawet dotarliśmy do Algieru, gdzie spędziliśmy kilka miesięcy na statku. Mogłabym przeliczyć słowa, wypowiedziane do mnie przez ojca; lecz często trzymał mnie na kolanach, całując bez końca i wodząc ręką po moich włosach. Sam ubierał mnie i cesał, a ja kochałam go i lękałam się zarazem. Czułam wobec niego taką powagę, jak podczas modlitwy w dużym, a pustym kościele. Ojciec mój był tak nieszczęśliwy, a na twarzy jego malowały się ślady tak głębokiego i niezmiernego bólu, że trudno było nań spoglądać bez uczucia pełnego miłości i poważania.

W piętnastym roku życia pozostałam sama jedna ze wszystkich dzieci. Zmarły na suchoty, a i ojcu stale groziło to samo. Służba domowa niejednokrotnie spoglądała na mnie współczująco, mówiąc z jakąś okrutną litością: „Ta biedna Emma trzyma się jakoś, ale kto wie, co się z nią stanie! „Pewnego razu pokojówka mojej ciotki, zresztą dobra kobieta, była powodem gorzkich łez, które wylewałam przez dzień cały. Ojciec mój zabronił mi przechadzać się wieczorami w parku, otaczającym nasz dom, mówiąc, że wilgoć nocna może mi zaszkodzić. Lecz raz księżyc tak cudownie świecił ponad drzewami i stawami, że poprosiłam miss Mary, aby mi towarzyszyła do parku. Mary wahała się dość długo, lecz potem, okrywszy mnie ciepłym płaszczem, rzekła: „Chodź, chodź, Emmo, korzystaj i ty z resztki życia, jaka ci pozostała; Twojemu rodzeństwu również nie przydały się na nic te wszystkie środki ostrożności. Chodź, pójdziemy do parku“.

Zaczęłam gwałtownie płakać i już nie chciałam oglądać księżycy, ani stawu. Łkając, rzekłam do Mary, że będę posłuszna ojcu, bo nie chcę umrzeć.

Tak upłynęło, mój Williamie, dzieciństwo twojej Emmy, tak przeżyłam okres młodzieńczy, a kiedy stałam się dorosłą, panną w wieku, który otwiera przed nami krainę zaczarowaną, z poezji i nadziei utkaną, przyzwyczaiłam się już do życia wśród łez i nieraz pytałam sama siebie, czemu jesteśmy skazani na ten żywot cmentarny, gdzie czyha nieustannie otwarty grób.

Biedna ciotka Anna to dobra kobieta, znasz ją wszak, Williamie; najpocziwsza istota, która pełniła rolę pielęgniarki przy mojej matce i pozostałam rodzeństwem, lecz mnie nie pocieszała nigdy bliskimi i ciepłemi słowy. Nie płakała, lecz oczy miała zawsze wilgotne i zaczerwienione, jak gdyby już wyczerpała cały zasób łez, a kiedy pytałam, jakaż to straszliwa tajemnica ciąży nad naszym domem, odpowiadała jakąś monosylabą i zajmowała się zaraz mojemi flanelami.

Pewnego dnia ojciec wezwał nowego lekarza, doktora Thoma, który stał się wkrótce jego najdroższym przyjacielu, i był jedyną u nas osobą pełną

pogody, jedynym promieniem światła i radości pośród wiecznych mroków naszej rodziny. Jemu winnam jest pociechy, doznane w okresie wczesnej młodości. Doktor Thom odwiedzał mnie codziennie, nawet kiedy czułam się najlepiej i pocziwy ten lekarz umiał nie być przykrym, konkludując niezmiennie temi słowy: „Miss Emma jest delikatna, lecz zdrowa i niema tu najmniejszych obaw.“

Jednej jesieni zalecił ojcu, który czuł się szczególnie źle, natychmiastowy wyjazd do Mentony. Wyjechaliśmy, lecz biedny ojczulek tak był słaby, że trzeba było zatrzymywać się ciągle po drodze i podróz z Londynu nad morze Śródziemne zajęła nam piętnaście dni. W Mentonie całą niemal zimę spędził w łóżku, ja zaś musiałam przechadzać się wraz z guwernantką pośród łąk i gór, ojciec bowiem twierdził, wbrew opinii lekarzy, że choroba jego jest zaraźliwa i nie chciał, bym pozostawała dłużej nad jakąś chwilę w jego pokoju.

Pod koniec lutego stan jego jakgdyby poprawił się. Przyjechał z Londynu doktor Thom i zalecił zmianę régime'u, co ojca niebawem wzmocniło. Zaczął podnosić się i wsparty na lasce przechodził do ogrodu, gdzie spędzał kilka godzin. My wraz z ciotką Anną byłyśmy szczęśliwe z takiego polepszenia, lecz gdy próbowałyśmy wywołać uśmiech na twarz naszego chorego, potrząsał głową, okazując taką bezradność, że prosto budził w nas lęk.

Któregoś dnia wstał wcześniej i jał wydawać polecenia do powrotnej drogi. Zaniepokojone tem nieostrożnym postanowieniem, biegniemy, próbując odwieść go od powziętego zamiaru. Doktor Thom nakazał pozostać mu w Mentonie, dopóki nie zezwoli mu na powrót, lecz ojciec mój poraz pierwszy okazywał niesubordynację. Ciotka Anna krzyczała, groziła, ja rzuciłam mu się do nóg, zaklinając na miłość ku sobie, aby zczekał na ocieplenie się, zanim przedsięwzięmie tę niebezpieczną podróż. Wszystko było daremne i ojciec zrozpaczony wykrzyknął wreszcie: „Chcę umrzeć w Anglii, chcę umrzeć w swoim domu“. Nigdy nie słyszałam w głosie mojego ojca takiego akcentu i, zajęta przygotowaniami do drogi, długo płakałam, wydawało mi się bowiem, że czytam w słowach tych wyrok śmierci.

W osiem dni później przybyliśmy do Londynu, lecz stan mojego ojca był opłakany. Doktor Thom, ledwie go ujrzał, potrząsał głową, mówiąc: „Ten człowiek chciał się zabić.“

Po kilkunastu dniach, w ciągu których ojca trawiła gwałtowna gorączka, zawezwał mnie któregoś wieczora do siebie. Godzina była późna i miałam się już położyć. Ojciec siedział w łóżku; ledwie zbliżyłam się doń, ujął mnie za rękę, a dłoń jego była go-

raça i wilgotna. Kazał mi usiąść obok siebie, mówiąc: „Czy wiesz, Emmo, dlaczego umarli twoi bracia i siostry? Dlaczego dom nasz jest od lat tyłu cmentarzem?.. To ja zabiłem wszystkie swoje dzieci“.. — I ojciec mój otarł pot z czoła, jak wosk żółtego, i przesunął ręką po włosach. — „Tak, moja Emmo, ja je zabiłem, a ciebie skazałem na nieszczęśliwy żywot.“

— Ojczulku, drogi mój ojczulku, ty masz gorączkę, — wyszeptalam.

— Nie, to nie gorączka. Ja byłem chory, we krwi miałem zarodek choroby, która mnie teraz zabija i przekazałem ją dzieciom, i również je zabiłem. Ja nie miałem prawa zostać ojcem, a pragnąłem mieć rodzinę. Sam winienem był znosić wyrok przyrodzenia... A tak zabiłem je, słyszysz...

Zaskoczony atakiem kaszlu musiał przerwać i odpocząć, po chwili dopiero ciągnął dalej:

— I ty, moja Emmo, nosisz w sobie tę samą truciznę. I tylko wysiłki nauki i jakaś spóźniona łaska Opatrzności zachowały cię, abyś mogła zamknąć oczy swemu biednemu ojcu, gdyż inaczej umarłby samotny, pełen wyrzutów i skruchy, które skończą się dopiero w grobie. Ale ty, moja Emmo, nie możesz zostać żoną ani matką. Musisz mi to przysiąc. Będiesz żyła z ciotką Anną. Czyń, co chcesz: zajmij się sztuką, podróżuj, poświęć się dziełu dobroczynności, lub religii. Zewszam ci na wszystko, ale — zostać czyjąś żoną nigdy, nigdy. Przysięgasz mi, Emmo?.. Tylko mając twoją przysięgę umrę spokojnie.

Ja płakałam i tłumilałam płacz, aby nie martwić ojca, i nie rozumiałam nic z tego wszystkiego. Rozumiałam tylko, że jedno moje słowo mogłoby pocieszyć umierającego ojca, lecz łzy i łkania nie dawały mi wydobyć dźwięku.

— No więc, przysięgnij, Emmo, przysięgnij, umieram, nie mogę czekać.

Ojciec rzeźił okropnie.

— Tak, przysięgam ci, ojczulku, przysięgam.

— Przysięgnij na twoją matkę, na twego ojca.

— Tak, ojczulku, przysięgam na ciebie, na matkę. Będę żyła i umrę samotnie.

Williamie mój, oczy mojego ojca zabłysły wówczas jakąś niezmierną radością. Zarzucił mi ramiona na szyję, pokrywając mnie pocałunkami. A ja obok niego wciąż płakałam i czułam, że jego ręce chłodną stopniowo. Nie pamiętam już, co było później, wiem tylko, że po kilka chwilach ojciec już nie żył.

Rozumiesz teraz, Williamie, dlaczego Emma nie może być twoją? Rozumiesz teraz mój ból? Czy masz jeszcze odwagę zlorzeczyć mi?

Do widzenia, Williamie; przyjdź po złożeniu sobie przysięgi, że będziesz, że chcesz mi być tylko przyjacielem i bratem.

(c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

A Kościół? Uproszony przez kler francuski, rozpoczyna wreszcie proces beatyfikacyjny w 1874 r. lecz ogłasza ją „błogosławioną“ dopiero w 1909 r. pod silnym naciskiem opinii publicznej. Wspaniała uroczystość beatyfikacji (18 kwietnia) zgromadza w Rzymie 40,000 pielgrzymów francuskich, stając się świętem prawowiernych katolików, w walce z antykościelną polityką rządową.

W roku 1920 Kościół zalicza Joannę w poczet świętych.

Tysiące wiernych modlą się do tej, którą jasnowidzenie ludu czciło po kościołach, zarówno, jak na polach walk i ulicach grodów—od pierwszej chwili jej zjawienia...

Ten sam niewygasły pietyzm narodowy otoczył najczulszem staraniem miejsce, gdzie się Ona urodziła

i wychowała. Jakże troskliwie podtrzymywano domek jej rodzinny, skoro mógł on przetrwać 500 lat i stoi jeszcze! Jako własność (od 1820 r.) departamentu Wogezów, zamieniony został na muzeum, zaledwie mieszczące olbrzymią bibliotekę wszystkich francuskich dzieł i dziełek, jakie napisano o Dziewicy.

W lasku, gdzie się niegdyś bawiła z innymi dziećmi, wzniesiono wielką bazylikę. A w ogródku stoi piękny posąg, dłuta Mercie'go, przedstawiający dwie postacie kobiece: młode dziewczę wiejskie chwyta miecz, który wypada z rąk słaniającej się królowej—symbolu Francji.

Myślę, że — chcąc wchłonąć w siebie to wszystko, co zostało z Joanny pod ziemskim słońcem — trzeba koniecznie być tam, choć raz w życiu — odetchnąć tem samym powietrzem, co ją żywiło, ucałować pobożnie tamten próg... Trzeba zjeździć wszystkie drogi, deptane kopytami jej rumaka, od Vaucouleurs i Chinon, aż po Compiègne i Rouen... Dotknąć tej kamiennej cembrowiny studni, pokazywanej dotąd w Poitiers, na której ona wsparła stopę, dosiadając konia przed orleańską wyprawą!

A przede wszystkim trzeba być w Orleanie w dniu 8-go maja, którejkolwiek wiosny. Albowiem wtedy to, od pięciu wieków — z przerwą jedynie 10-o letnią (1793—1803) miasto owe, najbliższe Joannie sercem i dziejami, święci niejako dzień swoich z nią zaślubin.

W olbrzymiej procesji cała ludność wylega na ulice, kierowana jednym uczuciem, jednym potężnym wspomnieniem — impulsem, odziedziczonym jeszcze po tamtych mieszczanach z XV wieku, co szli z pochodniami, wśród bicia dzwonów, zalani łzami szczęścia — witać tę, w której od pierwszego spojrzenia poznali Wielkość.

Dzisiaj widzi ją i czci ludzkość cała.

## XII ROZPAMIĘTYWANIA.

„I patrzcie, co to jeden człowiek może.  
Gdy duchem — gwiazdą na świata się kirze  
Zapalił...“  
J. Stowącki.

By objąć całą wielkość Joanny-Dziewicy, trzeba sobie jasno uprzytomnić trzy fakty:

Nie uczyła się nigdy niczego, prócz pacierza i robót gospodarskich. Stała na czele wojska i narodu — po wielu latach klęski zmusiła go do zwycięstw — dzwignęła kraj z wielkiego upadku, skupiając w sobie całą jego wolę odrodzieńczą. Zginęła, nie mając lat dwudziestu!

Jest dziwnie niezręczny fałsz psychologiczny w hipotezach, jakoby Joanna była czyjś narzędziem. Czyżby jej inspirator (lub grupa inspiratorów) nie pociągnął — po jej śmierci tak rychłej, po rehabilitacji — pochwalić się cudownym dziełem, uznanem przez naród i króla? Czyż możliwe, aby nikt i nigdy nie natrafił na ślad jego?

A zresztą — dzieło Dziewicy, oblicze jej duchowe, zbyt jest jednolite, by tamtą myśl dopuścić — nie dojrzy tego tylko zawodowy „pomniejszytel olbrzymów“! Charakter jej, tak dobrze nam dochowany we własnych jej słowach (listy, odpowiedzi w procesie) i w zeznaniach współczesnych o jej czynach — świad-

czy dostatecznie o wielkości osobistej, jedynie tłumaczącej wszystko. Ślady ideologii zakonów żebraczych, wierzeń i podań ludowych, odkrywane w jej pojęciach, nie przeczą temu ani trochę. Wszak największe indywidualności świata kształtowane były do pewnego stopnia przez wpływy środowiska, które jednak nie tłumaczą nigdy samego faktu genialności — nie da się on ukartować nigdy i przez nikogo.

Dzieło Joanny d'Arc nie miało precedensu w historii, więc nikt rozsądny nie mógł go przewidzieć<sup>1)</sup>, tem samem inscenizować.

Wiary nie można narzucić nikomu — lecz kto nie wierzy w boskie posłannictwo Joanny, ten musi uznać w niej samorodny genjusz. Mówi o tem dzieło dokonane.

Czysta dusza, gorąca pobożność, poświęcenie — to jeszcze mało! Gdyż wszystkie te cnoty żyły napewno u wielu kobiet w różnych epokach historii — a jednak żadna nie stała się dla swego kraju tem, co Joanna. Aby podnieść tak wysoko, narzucić tak potężnie „niezwyciężone moce miłości i wiary“<sup>2)</sup>, na to trzeba było szczególnej siły, jeśli nie nadnaturalnej, to wrodzonej.

Tę właśnie siłę trzeba nazwać genjuszem — innego określenia na to nie mamy. I tu znowu wracamy do punktu wyjścia: genjusz, zarówno jak objawienie, jest tajemnicą.

Oddychała powietrzem swej epoki — jednak miazmaty trucizny, napełniające je, nie przyjęły się u niej wcale. Przyswoiła sobie tylko powszechne wołanie o ratunek...

Lecz skąd wzięła zasoby, aby nań odpowiedzieć — jakim sposobem „było w jej mocy przynieść pewną pomoc? oto właśnie zagadka, oto cud!

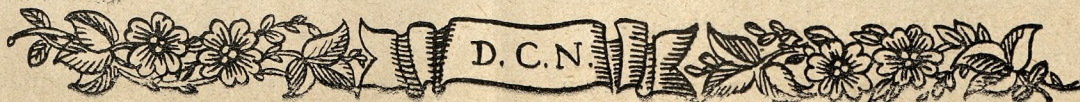
Nie wiemy, dlaczego Joanna była taką, jaką była — ani dlaczego została daną, ku wiecznej zazdrości innych ludów, Francji, właśnie.

W osobach jej i Napoleona (mimo krwi korsykańskiej, niepodobna zaliczyć go do innej narodowości, ni kultury, niż francuska) — kraj ten wydał dwa największe w naszej erze genjusze czynu. Znaczenie ich dla historii jest niewątpliwie równe; siły indywidualności porównać o tyle trudno, że Joanna nie posiadała żadnego absolutnie wykształcenia, ni doświadczenia bojowego — wystąpiła na widowie dziejową, mając lat 18, — zaś całkowity okres jej działania obejmował niewiele więcej nad rok jeden.

A przecie potrafiła stać się bożyszczem wojska i ludu, największą i najlepszą siłą polityczną swego czasu. Popularność jej i sławę porównać można jedynie do napoleońskiej. Rozmach czynu na olbrzymią miarę, szybkość orientacji i decezji, moc, wola, dar kierowania ludźmi, porywania mas — były w nich obojgu jakby nadludzkie. I jedno jeszcze ich zbliża: smutny koniec w rękach mściwej Anglii: stos i święta Helena.

<sup>1)</sup> Jak słusznie podnosi A. Lang.

<sup>2)</sup> A. France.



# BYŁA SOBIE ŻYDÓWECZKA...

(Z ŻYCIA WIELKIEJ TRAGICZKI)

W nędznej oberży kupców wędrownych, ciągnących z jarmarku na jarmark wzdłuż obcych gościńców, w małej szwajcarskiej wiosce Mumph przyszła na świat pod koniec lutego 1821 r. wątlą dziewczynka, której dano na imię Rachela. Mała żydóweczka, zawinięta w pieluszki, wypadła kiedyś z wozu, skaczącego po kamienistych wybojach. I byłby nikt z jadących nie spostrzegł zguby, gdyby nie krzyk przechodniów. Nie wiedziano wówczas, co za skarby krył w sobie nikły, niezdatny pakiecik.

Od lat najmłodszych Rachela i starsza jej siostra, Sara, musiały zarobkować. Ojciec, chciwy żyd, Jakób Felix, wyuczył je piosenek przy mandolinie i gitarze fatalnym żargonowym akcentem. Śpiewały po ulicach i kawiarniach. A jeżeli chybiły z góry oznaczonej taksy, bił je po twarzy, kopał i wymyślał od ostatnich wyrazów. Rachela miała lat dziesięć, gdy rodzice osiedli na stałe w Paryżu. Drobne, czarnowłose dziecko o usposobieniu marzycielskim i sentymentalnem niknęło przy Sarze, tegiej zmysłowej, silnie rozwiniętej blondynce. Publiczność pękała ze śmiechu, słuchając ich śpiewu i deklamacji, bo jeden karambol językowy padał po drugim. Raz kiedyś do miseczki Racheli rzucono sto susów i zwitek wierszy. Przechodził wówczas Wiktor Hugo.

Ojciec Felix nie żartował. Coraz większe były jego wymagania i coraz cięższe kary za niewypełnione po sam czub miseczki. Znudziło się to rezolutnej Sarze. Zdobyła sobie kochanka i rzuciła rodziców. Talentem Racheli zajął się najpierw dyrektor Instytutu Muzycznego, potem jeden z członków Teatru Francuskiego, w końcu głośny mistrz Samson, który wyszkolił parę pokoleń wielkich artystów. Ale żądny zysków ojciec odrywał córkę od nauki, zmuszając ją do zarobkowania po małych teatrach. Tak ciernistym szlakiem szedł genjusz dziewczynki do sławy.

Rodzina Felixów powiększała się co parę lat. Matka, nie mogąc podołać obowiązkowi, na czternaścieletnią Rachelę zdała rządy kuchnią. Biegała dziewczynka rano po kupno produktów i dopuszczała się drobnych nadużyć. Liczyła o dwa, trzy susy więcej, a za to „koszykowe“ nabywała dzieła klasyków — Corneille'a, Racine'a, Moliere'a. Skrobiąc kartofle, trzymała książkę na kolanach i deklamowała. A po ugotowaniu obiadu i zmyciu statków biegła do mistrza Samsona. W prostej muslinowej sukience, którą sama prała.

Drobne bojaźliwe dziecko wyrosło na „cud nieoczekiwany“. Już w 1838 r. szalał za nią cały Paryż. Nawet genjusz Talmy nie ściągał do Théâtre Français takiego tłumu najwykwintniejszych widzów. Było to tem dziwniejsze, iż cała zewnętrznosc Rachel odbiegała od ogólnie przyjętego typu słońc i gwiazd tragedji — wielkich, imponujących Kleopatry o karkach muskularnych i giestach tronowych. Całych w purpurze.

Rachel, zawsze wątlą, szczupłą, o rysach delikatnych, pełna była prostoty, Ubierała się skromnie, ale wytwornie i z wielkim smakiem. Nie uznawała patosu. Postawę miała swobodną. Giesty i ruchy gietkie. A ręce i nogi jak u księżniczki. Obdarzona niezwykłym słuchem, wyczarowywała z dosyć słabego swego kontraltu najsubtelniejsze odcienie modulacji. Dykcja jej była nieporównana i przy całym kulcie klasycyzmu tętniła życiem, prawdą. Słowa zle-

wały się w jeden rytm z akcją. Jakgdyby za wskazówkami Hamleta w scenie z próbą teatru.

Nie znała Szekspira w początkach kariery swojej. Analfabetka musiała uczyć się wszystkiego — literatury, historii sztuki. Do końca życia nie pisała ortograficznie, co nie przeszkadzało, że styl bardzo licznych jej listów był porywający.

Przy każdym swoim występie w nowej roli starała się wyczuć z nastroju sali, jak grała.

Nigdy nie dała zwieść się oklaskom. Zawsze wiedziała, kiedy były zasłużone, a kiedy tylko przyjacielskie. Probując sił swoich po raz pierwszy w nowoczesnym dramacie — Marji Stuart Lebrune'a — zauważyła, że stary zapalacz kinkietów, który w tej roli widział najsłynniejsze gwiazdy z p. Duchesnois na czele, nie okazał zachwyty. Poprosiła go natychmiast o sąd szczery, choćby najostrzejszy. Wyga teatralny nie zawahał się ani chwili. Zwócił uwagę na brak liryzmu w jednej scenie, na jakiś ruch niewłaściwy na drugim. Rachel podziękowała i na drugim przedstawieniu wywołała taką burzę oklasków, że nie było im końca. Prasa rozbrzmiewała jednym hymnem pochwalnym, a domorosły sędzia otrzymał w nagrodę piękny złoty zegarek.

W pierwszych dniach sławy przeszła na katolicyzm. I wówczas posypały się zaproszenia na wieczory, rauty, obiady w najarystokratyczniejszych domach. Zaczęła przyjmować u siebie. Ale papa Felix nie zasypiał. Wyzysk jego dochodził do zenitu. Przepędzał z domu swego wybitnych literatów, żeby nie odrywali córki od pracy. Każdą chwilę jej czasu starał się obłożyć lichwiarskim procentem. Wreszcie z marną trupą rzucił ją na prowincję. A gdy mistrz Samson zwrócił mu uwagę, że powinien oszczędzać wadze zdrowie córki, którą zabijają takie podróże, — odpowiedział tą swoją żargonową francuszczyzną: „Il est pourtant chuste que puisque mon fille a du talent qu'elle me rapporte“. (Przecież to słuszne, aby córka moja przynosiła mi zyski, skoro ma talent).

Artystyczne jej wycieczki objęły wkrótce pierwszorzędną dwory europejskie. Powozem z wszelkimi wygodami, gdzie miała swoje własne łóżko, może już nawet koleją i okrętem objeżdżała Anglię, Belgię, Holandję, Niemcy, Rosję. Wszędzie zapraszana do pałaców i stołów królewskich. W Windsorze od młodziutkiej podówczas (rok 1841) królowej Wiktorji otrzymała wspaniałą bransoletę z dedykacją. Dary, hołdy, uczyły były coraz wspanialsze. W Potsdamie, gdzie grała wyjątkowo tylko przed „Ich Wysokościami“, przygotowano dla niej wieczerzę niezwykle wystawną w jednej z sal pałacowych. Trupa jej — zlepek przygodnych statystów, powierników, łotrów i bohaterów scenicznych — miała jeść co innego i w innej sali. Było to pomyślane z prawdziwą pruską subtelnoscia.

Rachel zaprotestowała. „Dobry generał w dniach walnych bitew spożywa posiłek tylko z wojskiem swoim“. Słowa te zelektryzowały ich dostojności. Następca tronu sam prowadził ją do stołu. Król, królowa okazują wielkie wzruszenie. Cesarz Wszechrosji, który był wówczas na dworze pruskim, staje przed nią na baczność, nie pozwala jej podnieść się z miejsca i zaprasza ją na dwór petersburski.

Występy w Rosji przeszły fanfarą sławy wszystko, czego kiedykolwiek doznał najgenjalniejszy artysta. Przyjmowano ją, jak królowę. „Nie tę w tekturo-

wej złoconej koronie, ale tę najprawdziwszą — z portretów na pieniądzach — pisze w listach do rodziny.

Wśród tych uwielbień i hołdów ogarnia ją jednak tęsknota. W Paryżu zostawiła synka, maleńkiego Aleksandra. Było to dziecko niesłubne — wynik trzyletniego stosunku z Aleksandrem hr. Colonna-Walewskim Napoleonidą, synem słynnej, dobrej i pięknej hr. Marji, o której tyle pisze się teraz.

Wdowiec wówczas, byłby się może ożenił z matką chłopca, którego przyjął na swoje nazwisko. Ale tu odsłaniają się mniej sympatyczne karty z życia tragiczki.

Przy swojej ciężkiej pracy (w ciągu dwumiesięcznych rozjazdów potrafiła wystąpić 74 razy w 35 miastach Francji) znajdowała czas na niezliczone przygody romantyczne. Miewała po kilku kochanków naraz. Bywali między nimi mężowie najserdeczniejszych jej przyjaciółek, jak np. wybitnej publicystki, p. de Girardin, której zawdzięczała nie tylko pierwszy, ale stały swój rozgłos w prasie. Marzyła o zamożności. Zbierała sobie posag. Ale nie umiała wytrwać w uczuciu dla jednego człowieka.

Hr. Walewski dowiedział się o zdradzie i zerwał związek, nabierający już cech stałości. Odczuła to Rachel dotkliwie. Runął gmach ambicji. Być żoną arystokraty. Zrównać się towarzysko z pierwszemi domami Francji... Całym wysiłkiem woli dążyła do tego „la jeune magicienne“. Strata była tem dotkliwsza, iż — z własnej winy.

Coraz burzliwsze stało się już potem krótkie jej życie. Klucz od alkowy przechodził z rąk do rąk.

Republikanie, Bonapartyści, Burboni... Ks. Ludwik Napoleon i wpływy w pałacu Elizejskim. Ks. Jérôme, siostrzeniec Napoleona i ostatnia podróż jachtem jego do Canna, gdzie zmarła 3/1 1858.

Spaliła się w sobie Rachel i Rachon — pijana chwałą artystką i oszalała rozkoszą zmysłów miłośnicą. Nie pomógł Egipt, gdzie snuła się jak cień wśród ruin. Nie pomogło czyste niebo i słodki klimat południowej Francji. W chwili konania — chrześcijanka — gasnącym głosem zawodziła psalmy hebrajskie, wzywając miłosierdzia dla grzechów swoich. „Leć do nieba, córko Izraela!“ — napisał jej ostatni biograf.

Cierpienia lat przedśmiertnych może zmazały jej winy. Samolubstwo, zazdrość zawodowa (nie znosiła współzawodnictwa — uciekła z występów Restori w Marji Stuart), skąpstwo i ukochanie pieniędzy. Na śmiertelne łożo kazała rzucić sobie pod kołdrę mnóstwo sztuk złota, którego brzęk napawał ją rozkoszą.

Paryż wyprawił jej pogrzeb wspaniały. Złożono cześć tyłu żarom płomiennym, z jakimi dziecko Ghetta oddało genjusz swój na usługi zapomnianych klasyków. Powstała o niej bujna literatura. Najznakomitsi współcześni — Musset, Gauthier, Hugo, Béranger, Dumasowie poświęcili jej obszerne wspomnienia.

Ostatnia książka, która stanowi jakby wyciąg wszystkiego, co kiedykolwiek było powiedziane o tej niezwyklej zjawie romantycznej na tle klasycyzmu, wyszła bardzo niedawno z pod pióra członka Akademii Francuskiej, Ludwika Barthou<sup>1)</sup>. C. Walewska.

<sup>1)</sup> „Rachel“ Librairie Felix Alcan 1926.

## OD ANARCHJI DO KARNOŚCI, OD KOTURNU DO PROSTOTY

SZKIC O ROZWOJU FUTURYZMU W POEZJI

U kolebki futuryzmu stoi bunt. Bunt przeciw wszystkiemu, co było, absolutne zerwanie z przeszłością. Nie mamy przodków, nie mamy antenatów; precz z rodzicami, chociaż naprawdę każdy ich mieć musi, czy to jednostka, czy dzieło sztuki, lub jej kierunek. Futuryzm w założeniu swoim jest prądem nawskroś rewolucyjnym. Jest reakcją przeciw najbliższemu swemu poprzednikowi, przeciw symbolizmowi z końca XIX w.

Postawa futurysty wobec rzeczywistości uległa całkowitemu przewrotowi. Rzeczywistość tkwi nie poza nami, ale w nas samych, w poecie, w jego tworze. Rzeczywistość jest poniekąd emanacją, produktem ducha twórczego. Nie jest to jednak nierealny świat symbolu, widziadeł, marzenia. Nie! Nowy człowiek, ten potężny pan świata, co opanował żywioł maszyną, nie marzy, nie tęskni, nie cierpi. On nawet w cierpieniu znajduje źródło swoistej rozkoszy.

„Il faut éxalter l'homme, qu'il jouit même de ses souffrances“, powiedział Appollinaire. Radość, krzyk życia niepomahowany, bijący

z najdrobniejszych przejawów świata zewnętrznego. Nie wyjątkowość, lecz codzienność jest wiecznie żywym źródłem rozkoszy.

Poeci na ulicę! Precz z koturnem, z dekoracją, ze szminką, ze sztucznymi kinkietami uczuć, z ruinami przeszłości, z trupami muzeów i bibliotek. Świat ma tysiące twarzy, wiekiście zmiennych, więc „oddać te wszystkie oblicza świata naraz“ (Salmon) z szybkością kinematograficzną.

Egzaltacja siły? Tak. A siła musi się wyładować w czynie. Poezja futurystyczna we Francji i Włoszech jest poezją wojującą. Futuryzm włoski stworzył swój pierwszy meeting artystyczny w r. 1911 w Medjolanie słowami; — Precz z Austrią! — Pierwsze dwie manifestacje ludowe przeciw Austrii w 1914 r. były zorganizowane przez futurystów. Stąd już tylko krok do faszyzmu. Bunt, rozpęd młodzieńczy, graniczący z anarchią, duch wieczny rewolucjonista, ujęty w karby karności niemal wojskowej.

To we Włoszech. A we Francji? ścisła dyscyplina kubizmu. A więc ewolucja? Opanowanie treści



i formy przez wyższy nakaz estetyczny, czy etyczny, Jesteśmy świadkami ciekawego procesu psychiki zbiorowej. Egzaltacja siły przeradza się w egzaltację woli, egzaltację służby narodowej, bożej, wszechludzkiej, osobistej, służby wobec własnej duszy i ciała. „Les extremes se touchent“. Wczorajszy pan stworzenia, upajający się światem, jak winem, jakże rychło stał się szarym pracownikiem, wprzęgniętym w twarde służbę ideału. A kto służy ideałowi, ten z konieczności tęskni za jego źródłem, za przyczyną wszelkiej karności i dyscypliny.

I oto z chaosu i ciemności wyłania się jasny gościniec, droga, nabijana cierniami gwiazd, przyświecająca od wieków nieuleczalnym nostalgikom ideału.

Szukanie Boga.

A z chwilą, gdy nowa poezja na swym sztandarze wypisała hasła ideałów wszechludzkich, weszła ona w nową fazę rozwoju. „Artyści są na służbie ludzkości i piękna“ powiada Jacob. Poeta był zmuszony odejść od zwego „ja“. Rozpoczęła się walka z egotyzmem. Precz ze zwierzeniami, to literatura pensjonarska!

„Można być wiecznym tylko, służąc wiecznym prawom życia i posługując się niemi, wszelka afektacja jest skrzywieniem piękna na rzecz jednostki“. (Jacob.) Poeta staje się głosem świadomym świata. „Ja“ jest tylko seismografem, notującym wstrząśnienia kosmiczne, objektem, który skupia i oddaje prądy uniwersalistyczne. Jedynie jako tego rodzaju aparat, subjekt interesuje poetę.

„Dzieło sztuki jest siłą przyciągającą, która pochłania siły tego, który się do niej zbliża, Miłośnik sztuki chce być wzięty przez wolę i nią kierowany. Wola odgrywa w twórczości rolę główną, reszta jest tylko przynętą w pułapce“. (Jacob.)

W ewolucji futuryzmu wyłoniły się zatem dwie potęgi: wola i rozum. To, co rządzi dziś kubizmem, a niegdyś rządziło klasycyzmem. Właściwie mówiąc kubizm jest niczem innym, jak nowoczesnym klasycyzmem, jeżeli będziemy podtrzymywali definicję jeszcz z czasów romantycznych, która w klasycyzmie widzi przewagę i panowanie intelektu i świadomości, w romantyzmie zaś instynktu, intuicji, jednym słowem władz podświadomych człowieka.

Te dwie siły, wcielając się kolejno w najrozmaitsze kierunki sztuki, walczą z sobą ustawicznie. Kiedy załamuje się wola, kiedy bankrutuje intelekt, przychodzi do głosu instynkt, podświadomość. „Chciałbym powiedzieć wszystko, co czuję, tylko nie to, co wiem“. (Paolo Ruzzi.)

Reakcją przeciw twórczej dyscyplinie był dadaizm (w r. 1916). „Z rewolucyjnego programu wzięto tylko hasło burzenia“. Poszedł dalej: uwielbiał chaos. Za sztandar wzięto słowa Rimbaud'a: „je finis par trouver sacré le désordre de mon esprit“.

Dadaizm, to dziecko buntu, jest degeneratem, dziedzicznie ociążonym przez grzechy przodków. Odnajdziemy w nim wszystkie cechy impresjonizmu, krańcowego subiektywizmu, nastrojowości schyłkowej. Jest to w istocie rzeczy paseizm, doprowadzony do ostateczności, do absurdu, a co gorzej do wewnętrznego zakłamania. Formułka twórcza polega na pozornym braku wszelkiego systemu. Wrażenie, myśl, podniętę chwyta się na gorąco; wszelka interwencja logiki jest surowo zakazana. Nad „niczem się nie za-

stanawiać, niczego nie krystalizować, dawać nagą myśl, podobnie jak niegdyś dekadenci częstowali nas „nagą duszą“.

Krocząc po tej linii, dadaści wpadli w krańcowy nihilizm, który w rezultacie wywołał nową falę reakcji. Szala świadomości przeważała na razie, ale nie doprowadziła do ostatecznej równowagi. Podświadomość i instynkt nie dały za wygraną, przywdziały tylko inny kostjum, zapożyczając od Apollinaire'a terminu „nadrealizm“. Poezja staje się bezwiednym splotem słów „bez żadnej kontroli rozumu“. Któżby się troszczył o zrozumiałość? To rzecz zgoła niepotrzebna. Rola poety jest ograniczona do roli medjum, przez które przemawia głos rzeczy. Po kwiatkach tego podświadomego wieszczania poznać można łąco drzewo genealogiczne nadrealizmu, sięgające korzeniami swemi przez symbolizm aż do romantyzmu.

Bo przecież nie czem innym, jak pogrobowcem romantyzmu jest pokutujące w ciemnych zaułkach literatury pojęcie poety, wieszca, kapłana, proroka. Drapowanie się w togę magji, apostołstwa, nadczłowieczeństwa przejada się szybko. Po ambrozji i nektarze olimpijskim jak bardzo smakuje pospolity chleb razowy. Więc znowu reakcja! Sami poeci uderzają w dzwon na trwogę. Więcej skromności, zejźmy z pjelestałów arcykapłaństwa, precz ze szantażem uczuć“ otrząśnijmy się z wewnętrznej pozy przed samemi sobą. „Zróbmy karnawał wszystkich cierpień, zapomnianych z parasolem w kawiarniach Europy“. Bądźmy prości, bądźmy szczerzy, bądźmy ludźmi. Szukajmy piękna nawet w drobiazgach, przedewszystkiem w drobiazgach. Następuje uroczysta rehabilitacja banalności.

O Apollinair'ze powiedziano, że wymalował maskę śmiechu na twarzy poezji. Radość często uzewnętrznia się zapomocą krzyku, nawet dysonansów. Humor, żart, błaga, proste, nieraz ordynarne kpiny, oto antidotum na przesadną wzniosłość i napuszonosc. A jednak ten śmiech futurystyczny nie jest beztróskim śmiechem młodego, sytego, zdrowego zwierzęcia. Jest to śmiech tragicznego pajaca, który pod błażńskiemu szmatkami ukrywa bliźnę niezagojonej tesknoty. Do czego? Może właśnie do tej pogardzonej, wykletej wzniosłości.

\* \* \*

Zatoczyliśmy wielki krąg. Wróciliśmy do naszego punktu wyjścia, do otwartego okna, zakochanego w słońcu! Cóż przez nie widzimy? Fale, fale, fale. Wiekuiste następstwo przyływów i odpływów, tylko w rekordowo przyspieszonym tempie. To, na co dawniej czekało się setki, dziesiątki lat, teraz zmienia się z dnia na dzień, z minuty na minutę. Zmieszały się, poprzecinały grzbiety i bruzdy fal.

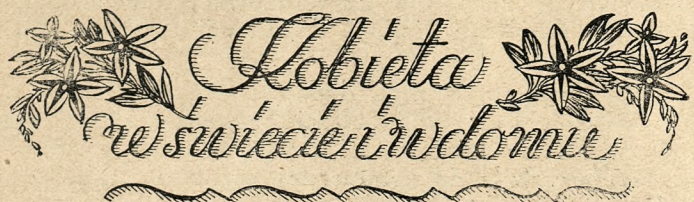
A nad tym chaosem i zamętem, w mrokach przedstworzonych drżąca dłoń poety kreśli świetliste słowa:

— Nadchodzi wiek, który będzie wiekiem wiary!

Stefania Podhorska - Okołów.

Jest moim obowiązkiem wyrazić na tem miejscu moją wdzięczność pani Annie Ludwice Czerny, której wstęp do „Antologii nowej liryki francuskiej“ posłużył mi za szkielet do niniejszego szkicu.

Zadne ze znanych mi źródeł francuskich nie posiada tej ścisłości konstrukcji i przejrzystości wykładu, co zwarty wstęp znakomitej polskiej tłumaczki i znawczyni nowej poezji francuskiej.



## ROLA KOBIET W WALCE Z RAKIEM

Pod tym tytułem wygłosiła lekarka paryska, pani dr. Hartman - Coche, bardzo ciekawą konferencję popularno - medyczną, którą tu podajemy w streszczeniu:

Oddawna już kobiety zrozumiały konieczność walki z tą najstraszliwszą może plagą ludzkości, jaką jest rak — choroba dotychczas jeszcze bardzo mało zbadana, co do przyczyn, które ją wywołują, mimo wysiłków, jakie w tym kierunku czynią najwybitniejsi uczeni. Istnieją w różnych krajach poszczególne stowarzyszenia kobiece dla walki z rakiem, najliczniejszym z nich jednak i najruchliwszym jest Liga Anglo-Franko-Amerykańska. Liga ta prowadzi propagandę w kierunku profilaktycznym, zbiera fundusze na zakup środków leczniczych, przedewszystkiem radium, funduje szpitale dla rakowatych etc. Dodać tu należy nawiasem, że wszystkie szpitale paryskie razem wzięte posiadają w sumie tylko dwa gramy radium, podczas, gdy każdy ze szpitali nowojorskich zaopatrzony jest conajmniej w trzy do dziesięciu nawet gramów tego cudownego środka leczniczego.

Dr. Hartmann-Coche podnosiła szczególne znaczenie szerzenia wiadomości o sposobach leczenia raka od pierwszej chwili tej choroby. Zazwyczaj dotknięty tą chorobą osobnik zaczyna leczyć się zbyt późno, gdyż rak w pierwszym swoim stadium jest bezbolesny. Tymczasem tylko w tem stadium właśnie leczenie dać może dobre rezultaty. Mówczyni z całą stanowczością stwierdziła, że zabieg chirurgiczny jest w każdym wypadku raka nieunikniony i niezbędny. Nie wyklucza to bynajmniej leczenia radem, przeciwnie, oba te sposoby należy stosować jednocześnie — operację dla usunięcia umiejscowionego jeszcze nowotworu, rad zaś — dla zapobieżenia dalszemu rozszerezeniu się choroby.

W tem właśnie leży wielka rola kobiety w walce z rakiem: powinna ona rozszerzać wokół siebie przekonanie, że rak jest uleczalny, o ile go tylko zacznie się leczyć w porę. Bardzo ważnym jest także zapobieganie szerzeniu się raka. Medycyna nie orzekła jeszcze dotąd z pewnością, czy rak jest zaraźliwy i czy jest on dziedziczny, wielu lekarzy jednak na oba te pytania odpowiada twierdząco. Obowiązkiem więc każdej osoby, która się poświęciła walce z rakiem, jest pouczać chorych i ich otoczenie o konieczności zachowania niezbędnych środków ostrożności, celem zapobieżenia szerzeniu się tej choroby.

O spustoszeniach, jakie straszliwa ta choroba sprawia wśród ludzkości, najlepsze pojęcie dać mogą następujące cyfry: statystyka wykazuje, że w przeciągu ostatnich lat trzydziestu liczba osób, umierających na raka we Francji, wzrosła dwukrotnie, osiągając cyfry czterdziestu tysięcy zgonów rocznie. W samym Paryżu umiera na raka około dwunastu osób dziennie. Nic dziwnego więc, że kobiety, jak zawsze chętne do walki z każdym złem społecznym, garną się tłumnie do szeregów Ligi do walki z rakiem.

Z. B.

## Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY:

„Świecznik“ komedia w trzech aktach Alfreda de Musset. Przełożył Boy Żeleński.

Aczkolwiek napisana przed osiemdziesięciu blisko laty ma ta komedia Musseta prawdziwy czar niestarzejacej się młodości. Nic dziwnego: ojcem jej był romantyzm, matką, szczerze przyżycia młodego autora, który — na przekór innym młodym autorom umiał pisać. Zresztą „Świecznik“ nie pisał z myślą o teatrze. Po pierwszej nieudanej próbie w Odeonie porzucił marzenia o sławie dramaturga. Drukował swoje komedje w „Revue de deux Mondes“, a formę dramatyczną obrał poprostu dlatego, że w tym okresie swojej twórczości wypowiadał się w niej najłatwiej. Na sceny paryskie wprowadziła Musseta pani Allan. Bawiąc na występach gościnnych w Petersburgu poznała przypadkiem jego „Kaprys“. Zagrała go w 1847 w Paryżu. W rok później wystawiono „Świecznik“.

Jak wszystkie komedje Musseta i ta jest nawskroś egotyczna. Tematy historyczne, ani antyczne nie zajmowały go nigdy, za mało też miał co sobie z myślicielem, by ujmować zagadnienia symbolicznie („Chattertoce“ Alfreda de Vigny). Świat jego zainteresowań zamykał się w świecie snów i marzeń poety. Bohater Musseta to zawsze on sam, lub pewien stan jego duszy. (Odbiega on bardzo od obowiązującego dotąd w komedji romantycznej typu Byronowskiego). Czasami poeta rozdwaja się, przeciwstawiając sobie dwa odmienne charaktery, lub postacie. Ale są to zawsze dwa „ja“ walczące w jego duszy. (Lanson).

Komedje Musseta charakteryzuje cudowne odczucie dialogu. Autor patrzy na swoje postacie komedjowe jak na ludzi żywych — słyszy ich głosy, zdania, repliki. Wbrew innym poetom romantycznym jest subtelnym i wnikliwym psychologiem. Postacie drugoplanowe traktuje zbyt powierzchownie i sumarycznie, ale za to jak drobniagowo przeprowadza analizę stanu duszy głównych bohaterów. Naprzykład taka pani Joasia w „Świeczniku“. W pierwszym akcie pospolita mieszczka, z czystem sumieniem zdradzająca niekochanego zazdrosnego i starego męża. Przyjmuje w swojej sypialni oficera dragonów Clavaroche, a przed zarzutami męża broni się nadąsaną minką, pozorami niewinności, itd. Napewno, ani razu nie przyszła jej do głowy, że grzeszy. A jeżeli nawet uświadomiła sobie grzech — to się poprostu wypowiadała. Równie lekko myślne jak mąż godzi się zdradzić pani Joasia młodziutkiego chłopca, którego w sobie rozkocho. Bo na prowincji, gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, gruchająca para musi mieć „Świecznik“. Jest to niewinny i naiwny chłopczek, który za cenę kilku miłych słówek i uścisku drobnej rączki ściągnie na siebie podejrzenia zazdrośnika. Na „Świecznik“ wybrała pani Joasia Fortunę, jednego z trzech dependentów swego małżonka. Wybrała jego, ponieważ wydał jej się najmniej doświadczony, a więc najpodatniejszy. Nie wzięła pod uwagę jednego: Fortunio jest poetą; czar jego młodej poetycznej duszy stanowi poważne niebezpieczeństwo dla pospolitej miłości dziarskiego Clavaroche. Jedna piosenka zaśpiewana przez młodzieńca budzi w Joasi serduszek. Naznacza mu u siebie schadzki, wysłuchuje jego zwierzeń, jest wzruszoną, ale jeszcze daleko jej do wyrzeczenia się dziarskiego dragona. Dopiero poświęcenie Fortunia powie jej czem jest miłość. Skoro się dowie, że młodzieniec wiedząc wszystko, przebaczył jej i gotów się narazić dla uratowania nietylko jej honoru, ale jej miłości, Joasia pojmie, że miłość pana Clavaroche i miłość tego chłopczka to rzeczy niewspółmierne. I wybierze — tę prawdziwą.

Przemiany zaszele w duszy pani Joasi są przedstawione z subtelnością i odczuciem psychologa i poety. Tych dwoje tylko, Joasia i Fortunio, których opromienia miłość, to ludzie żywi. Reszta marionetki nakreślone mniej, lub więcej poprawnie, lub zabawnie.

W reżyserji pana Trzcinińskiego zatracił „Świecznik“ ów subtelny czar poezji, jakim się odznacza komedja Musseta. Mając dwoje doskonałych solistów — panią Pancewiczową i J. Leszczyńskiego — nie umiał stworzyć zespołu. Pan Orwid w pierwszym akcie męczył i nużył niczem niewytłumaczonym miotaniem się po scenie; trzej dependenti — panowie Żabczyński, Solarski i Wyrzykowski — muszą jeszcze uczyć się długo, zanim można ich będzie nazwać doświadczonymi aktorami. Panu Żabczyńskiemu powierzono rolę zatrudną, wymagającą prawdziwego wdzięku, rolę jakby otworzoną dla Osterwy: on jeden umiał być na scenie marzyicielem i poetą. Pan Żabczyński ładnie odśpiewał śliczną piosenkę Offenbacha, ale ta piosenka to tylko jeden epizod. Gdzie monolog w ogrodzie? Lub scena wyznania miłości Joasi?

Pan Leszczyński przejąskrawił nieco swego Clavaroche, ale wybaczamy mu ten błąd: okupił go cudowną, beztróską wesołością, którą zawsze wnosi na scenę.

Prawdziwy to dzień tryumfu miała pani Pancewiczowa. Joasia jej miała wdzięk kobiecości, dowcip, szczerść i prawdziwą poezję. Na zakończenie. Przed ostatnim obrazem (po scenie pojednania Joasi z Fortuniem) w przerwie orkiestra gra ową piosenkę Fortunia. Może ma to być symboliczne — nastrojowe (piosenka ta zbudziła w Joasi serce), ale przypomina trochę owe wygrywanie szlagierów w antraktach operetki.

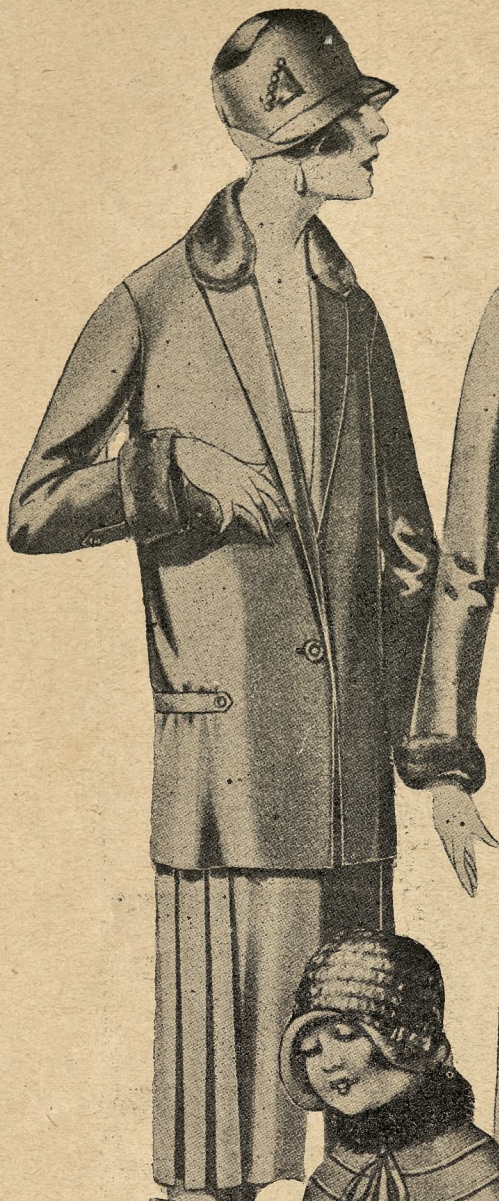
Z. P.





967.

968



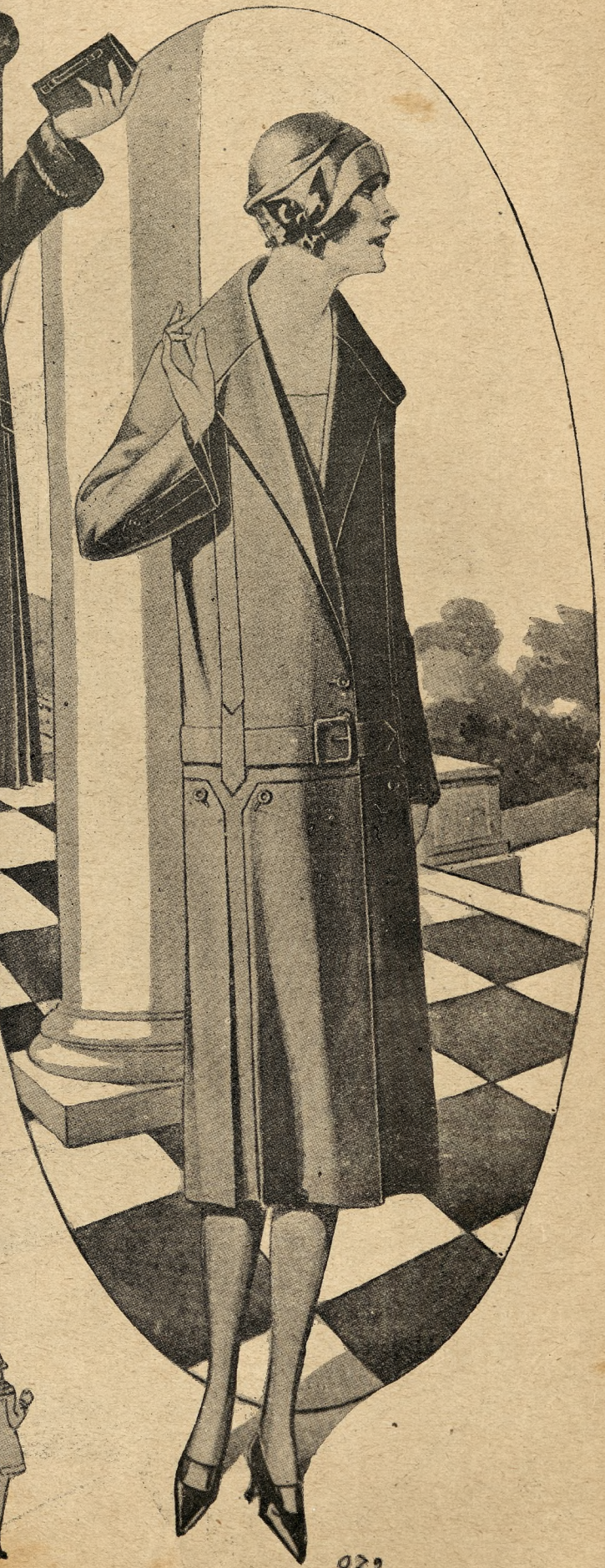
969.



971.



970.



972.





973.

974.

976.

975.





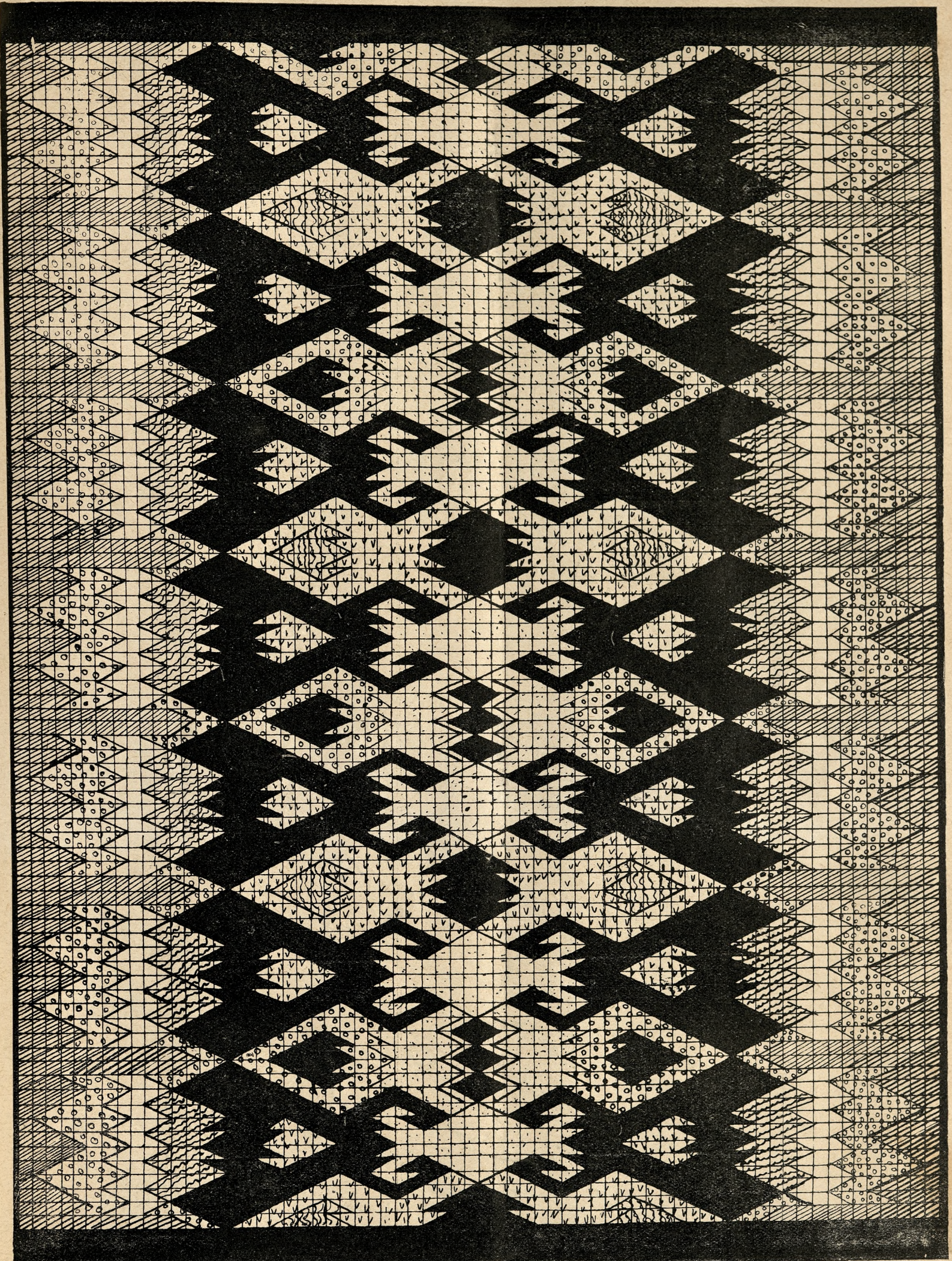
983.

984.

985.

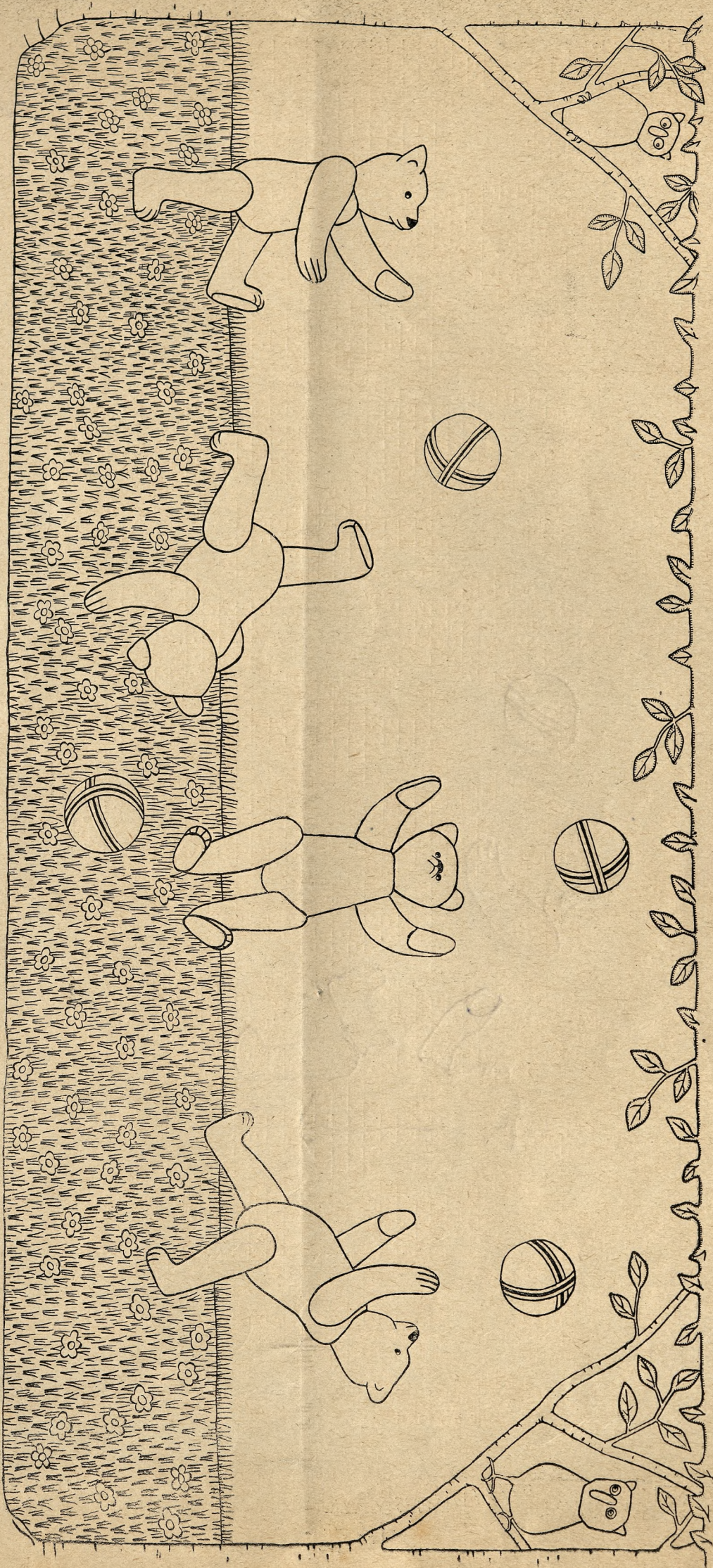
986.

987.



GRANATOWY  POMARANCZOWY  KAWOWY  POPIELATY  PAWI JASNY  PAWI  OLWKOWY

TKO BIAŁE  
98d



## MATERAC, KTÓRY MOŻE SŁUŻYĆ ZA TABORET

Kto codziennie gimnastykuje się, a woli to robić na miękkim materacu, niż na twardej podłodze, materac taki będzie mu bardzo użyteczny, nie zajmuje miejsca, tworząc po złożeniu oryginalny taboret. Nasz wzór rys. 1 składa się z 4 płaskich poduszek miary 0,55 na 0,45 m., grubości 10 cm, (rys 2.) Na każdą poduszkę kraje się po dwa prostokąty z grubego płótna 0,58 na 0,48 m. i pas na połączenie ich, wysokości 0,13 m., a długości 2 m. 3 cm., zeszywa się ten pasek w kółko, wkońcu otacza się nim przygotowane prostokąty, zostawiając 20 centymetrowy otwór na wypchanie włosiem, wełną, albo osianymi plewami owsianymi. Poduszka nie powinna być ani za mała, ani zanadto wypchana, powinna być płaska i sztywna jak to widać na rys. 2.

Przygotowawszy cztery poduszki, trzeba je pokryć grubym kretonem w kwiaty, szarem płótnem, aksamitem meblowym w prążki i t. p. potrzeba materiału szerokiego 0,85 m. dwie długości, czyli 2 m. 23 cm.

Jeżeli wypadnie zesztukować materiał, można to uczynić, uważając jedynie, aby szew wypadł na rogach, a nakryje go się torsadką przeznaczoną do zakrycia szwów.

Przypatrzmy się składaniu materaca, które nam rys. 3 wskazuje, oznaczając zarazem długości i wysokość pasów, a także miejsca a, b, c, gdzie pasy te powinny być szczepione ze sobą.

Potrzeba mieć 8 pasów, 4 na każdą stronę miarą 48 na 13 cm. Na dwóch długich pasach z materiału, oznaczamy mydłem krańcem w kierunku szerokości, przypuszczając na każdym końcu po 1½ cm. na zeszywanie, linje następujących rozmiarów: 0,10, 0,45 a, 0,10, 0,45 b, 0,45, 0,10 c, 0,10 — na jeden pas i 0,45 0,10 a — 0,10, 0,45 b — 0,45, 0,10 c — 0,10, 0,45 na drugi pas.

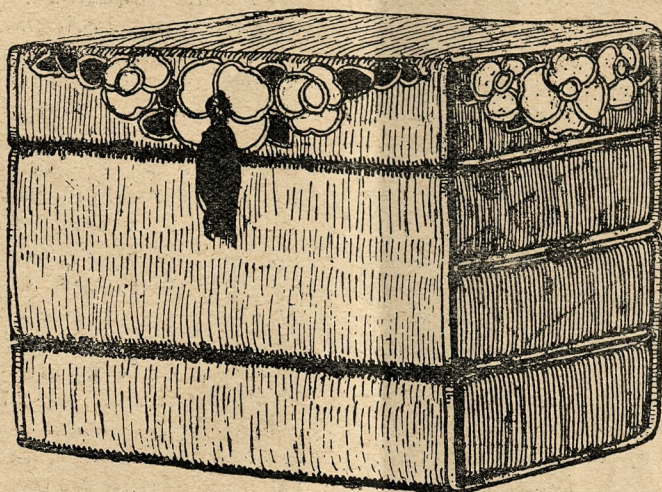
Połączyć pasy końcami, zeszywając po lewej stronie, następnie po prawej stronie, 3 razy przepikować tak, jak listwy a, b, c wskazują.

Te pikowania, łącząc ze sobą materiał, podzielią go na 4 części. W każdą wsunąć poduszkę, pozostanie nam już tylko przyłożenie małych boczaków, które wpuszczają się na 1½ cm., a u brzegu pasów zeszywa je się wierzchem, przypikowując się tak, jak to rysunek 4 wskazuje.

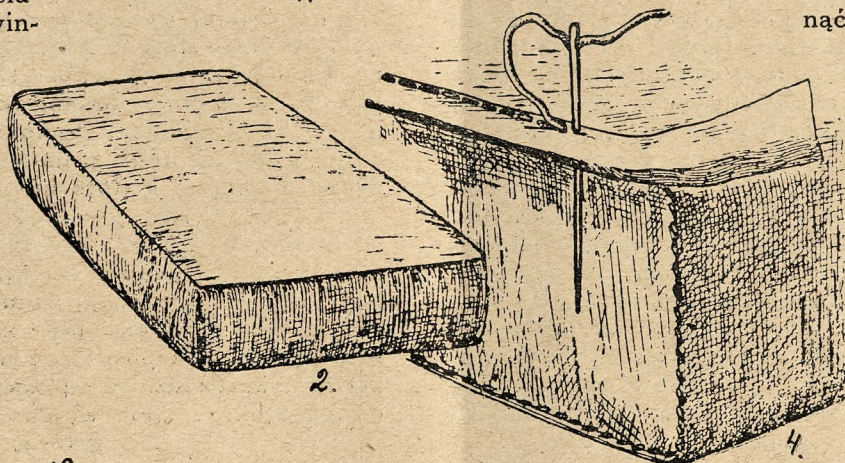
O ile zasłaby potrzeba, wszystkie boki i kanty poduszek można oblamować galonem.

Taboret rozłożony przekształca się w materac 1 m. 80 cm. długi, na 60 cm. szerokości, (r. 5). Ozdobiony jest on aplikacją wyciętą z drukowanego kretonu i chwastami, dostosowanymi do galonu. Można też górny pas ozdobić grubym wypukłym haftem, wykonanym wełną.

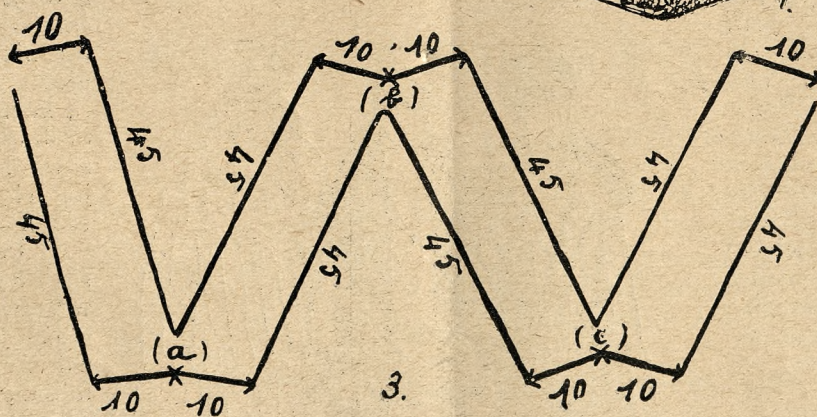
Zapomocą pomponików albo guzików można przepikować każdą poduszkę, składającą się na ten pomysłowy taboret.



1.

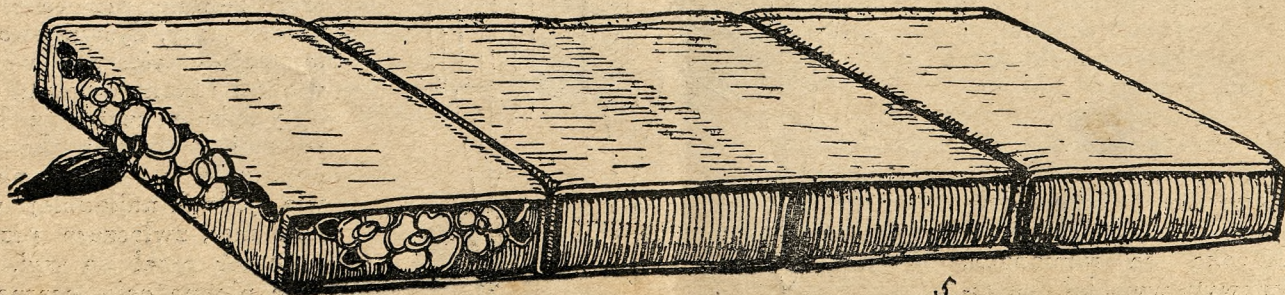


2.



3.

czków można przepikować każdą poduszkę, składającą się na ten pomysłowy taboret.



5.

## HOROSKOPY NA ROK 1927



Niedawno miałam okazję obejrzeć osobiście modele, które mi opisują zagraniczne korespondentki. Spieszę podzielić się wrażeniem z czytelniczkami.

Więc pokazano mi futra, najciekawsze zagadnienie sezonu, wobec nadchodzącej zimy. Okrycia fokowe i karakułowe mają najczęściej krój kimonowy, dość szerokie pachy, dół lekko zaokrąglony, z przodu nieco dłuższy niż z tyłu. Kołnierze szalowe, lekko przy szyi zmarszczone, co tworzy szykowną odstającą linię. Karakuły miały skunksowe kołnierze. Kołnierze z futer puszystych są mniejsze, zapinane pod szyję, rozpięte przypominają kołnierze wojskowych mundurów. Płaszcz z materiałów, z miękkich zamszów, z kasha z velour Leda i z charmelaine w odcieniach bois, de rose lie de vin oraz granatowym, który po paroletniej niełasce znów powrócił do mody. Wię-

szość płaszczy miała tylko konierz i mankiety z futra, zaledwie parę okryć było obłożone futrem w dole. Jeden płaszcz ceglasty obłożony skunksami, miał szerokie kimonowe pachy i plecy w formie bolera. Inny granatowy, obłożony szarym barankiem miał plecy bluzkowate (dos blouse). Płaszcz piaskowy, obłożony w dole czarnoburym lisem, był dłuższy z boków niż z tyłu i z przodu. Okrycie z brązowego aksamitu było bramowane nurkami. Płaszcz z jedwabiu lie de vin był zakończony pasami tlenionych kretów. Tak jest, miłe czytelniczki, tlenionych. Doprawdy ludzka perwersja jest bezgranicznie pomysłowa. Trzeba zresztą przyznać, że ów perwersyjny pomysł jest absolutnie chybiony i że tlenione krety wyglądają równie brzydko jak tlenione kobiety. Tem więcej cieszyły oko krety naturalne, ślicznie ułożone w zęby na płaszczu z piaskowego zamszu. Długie ranwersy otwierały się z przodu, aż do dołu i były również wykończone zębami z kretów.

Niektóre modele skromnych okryć na ulicy miały, wycięte w ząb, szerokie karczki i kieszenie jak przy french'ach. Jeden płaszcz miał kieszenie krojem reglanowym. Tentencja do ensemble jest zaznaczona przez podbijanie futra podszewką koloru sukni. Okrycie z zamszu prune okrywało suknię z jedwabiu prune z ukośną hiszpańską pelerynką na ramionach. Szmer zachwytu wywołał ensem-

ble złożony z popielatego płaszczyka bramowanego karakułami do cieniu od srebrzystych przez stalowe, do czarnych. Pod tem sukienka z crêpe de chine'u gris perle z drobnutko plisowaną spódniczką wykończoną stalowemi i czarnemi zębami. Długi szalowy kołnierz z tak samo cieniowanych zębów, szeroki plisowany rękaw również zakończony stalowo i czarno dopełniały tej wyjątkowo wytwornej równie dyskretnej jak efektownej toalety.

Suknie popołudniowe odznaczają się wykwinutą prostotą. Była suknia z matowego jedwabiu z niewielkim kołnierzykiem i mankiecikami. Inna również czarna miała maleńki wykładany kołnierzyk, mankieciki i kieszonki naszyte wąskim galonikiem ze złotych cekinków i trójkolorowych jedwabi. Do plisowanej zielonej spódniczki, dosyć długi jumper zielony, przetykany srebrem z materji przypominającej małopolskie ludowe wyroby. Dosyć szeroki zamszowy pasek, również zielony, wysoko na biodrach o parę centymetrów niżej linii normalnego stanu. Ta sama kombinacja ceglasta ze złotem. Niektóre modele mają stan bardzo wysoki jak na przykład śliczny ensemble z crêpe marocain koloru bois: spódniczka plisowana w kosteczki, krótki żakiecik skrzyżowany z przodu, z tyłu wydłużony i zaokrąglony i z pod

wysokiego paska bluzka z georgette'y, w odcieniu nieco jaśniejszym. Plisowanie spotykamy niemal przy wszystkich sukniach popołudniowych. Modne są kosteczki, plisowanie bardzo drobne, czasem z odstępami. Plisowanie deseniowe i fantazyjne już się opatrzyło i jest stanowczo mal porté.

Popielata suknia z długim szalowym kołnierzem wiązanim w krawat miała oryginalny rękaw złożony z trzypiętrowej falbany, zakończony wychodzącym z pod falbany mankiem. Wszystkie popołudniowe suknie mają długie rękawy, rozmaitość tych ostatnich jest nieograniczona. Były suknie lie de vin, héliotrope, szaro zielone, przeważał jednak kolor czarny, dystygowany, nieopatrujący się, dla wszystkich wieków i karnacyj awantażowny. Były suknie czarne z bladuróżowemi przodami, kombinacja popularna w Paryżu, niewątpliwie jednak najładniej wygląda noir mat, zwłaszcza przy kilku sznurach pereł na szyi. Bardzo była piękna cała czarna suknia





z tuniką z długiej frendzli i takąż peleryną. Popielata suknia była przybrana trzema rzędami krótkiej sznelowej popielatej frendzli. Inny model z czarną frendzlą wycięty pod szyję i wykończony białymi wypustkami bardzo się nadaje do żałoby. Frendzle są haute nouveauté. Wieczorowa suknia z bladej zielonej georgette'y jest przybrana dwoma piętami długiej frendzli cieniowanej, ciemnozielonej w dole, prawie białej w górze. Kolekcja sukien wieczorowych odznacza się niesłychanym bogactwem. Zwracają uwagę suknie zaszyte olbrzymimi cekinami, które zwracają uwagę nie tylko blaskiem ale i głośnym chrzęstem. Kobieta poruszając się w takiej toalecie chrzęści jak wąż grzechotnik. Jeżeli ta moda się przyjmie, to będziemy każdym ruchem głośno akompanjować jazz - bandom. Widocznie krawcy paryscy uważają, że dotąd za mało było na dancing'ach hałasu. Owóz wyżej wzmiankowane cekiny, każdy rozmiaru conajmniej dwudziestogroszówki, bywają okrągłe i podłużne i mają tylko jeden otworek do przyczepiania u góry, reszta chodzi luzem i brzęczy. Były toalety czarne, całkowicie owymi cekinami naszyte, jedna w ślicznym i rzadkim odcieniu bleu noir. Suknia z georgette'y lila, miała gładki, dość krótki staniczek i marszczoną spodniczkę zakończoną szerokim pasem owych cekinów, mieniących się lila i niebiesko.

Do tej sukni był płaszcz żywcem wyjęty z bajek z tysiąca i jednej nocy z lamy złotoliliowej, bramowany puszystym popielatym futrem. Inny bajkowy



płaszcz był z lamy złotopurpurowej cały podbity marabutami. Śliczna była suknia pompon cała z falbanek z liliowego tiulu, z boku spadały trzy olbrzymie czerwone róże. Mniej udana była suknia z czerwonej koronki oraz dwie suknie fioletowe w przykrym jaskrawym odcieniu. Natomiast arcydziełem dystynkacji była toaleta z czarnego velour chiffon, bardzo dyskretnie skloszowana ku dołowi. Haft z brylantów tworzył pancerz z ukośnych kwadratów i schodził w dół w kształcie promieni. Inna suknia z czarnego połyskliwego jedwabiu równie lekko w dole rozszerzona była zakończona szeroką jedwabną koronką również czarną, daną w dole na azur. Spróbuję zreasumować ogólne wrażenie. Suknia pozostaje krótka, bardzo krótka. Wysokość stanu najzupełniej dowolna. Sylwetka często pozostaje wąska do dołu, ale spotykają się również lekkie klosze a także i całe spódniczki marszczone. Moda pozostaje „kinetyczna” to znaczy obliczona na efekty w ruchu. Nowymi kolorami są; rose fancé i lie de vin, oba prześliczne. Utrzymują się lila de parme, fiolet, szaro zielony i popielaty. Czarny jest hors concours.

Bolero spotyka się przy niektórych modelach ale nie tworzy linii dominującej, tak samo bluzkowate plecy. Balowe toalety są prawie zawsze przybrane olbrzymim kwiatem na ramieniu. Jedwabie matowe cieszą się większym powodzeniem, niż błyszczące, ale i z tych ostatnich wykonywa się bardzo eleganckie modele. Najszykowniejszym wykończeniem każdej toalety są lisy we wszystkich odcieniach. Well.

## POLSKA WSPÓŁCZESNA

### PRAWO KONSTYTUCYJNE

Obowiązujące w Polsce prawo konstytucyjne ogranicza się do 3-ech ustaw: ustawy z dnia 17 marca 1921 r., ogłoszonej w Nr. 44 Dziennika Ustaw z t. r. o Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, ustawy z dnia 2 sierpnia 1926 r., ogłoszonej w Nr. 71 Dz. U. w r. b. zmieniającej Konstytucję z 17 marca, a także ustawy z dn. 15 lipca 1920 r., ogłoszonej w Nr. 73 Dz. Ustaw z t. r. ustalającej autonomję Województwa Śląskiego i przepisów tę ustawę uzupełniających.

Podstawowym przepisem konstytucyjnym jest Konstytucja z dnia 17 marca. Ustala ona podstawy ustroju Polski, normuje prawa i obowiązki obywateli Państwa Polskiego i jest wytyczną dla prac ustawodawczych parlamentu polskiego. Sześć artykułów tej Konstytucji zostało zmienionych ustawą z dnia 2 sierpnia b. r. Zmiany idą w kierunku ograniczenia prerogatyw władzy ustawodawczej, a wzmocnienia powagi i siły władzy wykonawczej.

Ustawa konstytucyjna składa się ze wstępu oraz z siedmiu rozdziałów, podzielonych na artykuły. Ogółem, we wszystkich rozdziałach, Konstytucja liczy 126 artykułów. Przez ustawę z 2 sierpnia b. r. uległy zmianie artykuły: 4, 22, 25, 26, 44 i 58. W dalszym

ciągu rozpatrzmy poszczególne rozdziały Konstytucji i zawarte w nich postanowienia, biorąc pod uwagę ostateczną treść Konstytucji, już ze zmianami z bieżącego roku.

Wstęp do ustawy konstytucyjnej zawiera podniosłe stwierdzenie dążeń twórców ustawy i zasad, na jakich Konstytucja jest oparta. Przytaczamy go w całości:

„W Imię Boga Wszechmogącego!

My, Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzolenie nas z półtorawiekowej niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały, nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja — dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku, a pragnąc Jej byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekiustych zasadach prawa i wolności, pragnąc zarazem zapewnić rozwój wszystkich Jej sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość, a pracy poszanowanie, należne prawa i szczególną opiekę Państwa zabezpieczyć — tę oto

Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy“.

Rozdział I. Konstytucji omawia zasadniczy ustrój Państwa. Stwierdza on, że Państwo Polskie jest Rzeczypospolitą, oraz że władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej należy do Narodu, który ją wykonywuje za pośrednictwem Sejmu i Senatu w zakresie ustawodawstwa, za pośrednictwem Prezydenta Rzeczypospolitej i odpowiedzialnych Ministrów w zakresie władzy wykonawczej, a za pośrednictwem niezawisłych sądów w zakresie wymiaru sprawiedliwości. Rozdział ten stanowi więc dla Polski ustrój republikański, oparty na zasadzie demokratycznej, z podziałem władz na ustawodawczą, wykonawczą i sądową.

Rozdział II. omawia ustrój i zakres działania organów ustawodawczych. Stwierdza on przede wszystkim w artykule 3 Konstytucji, że zakres ustawodawstwa państwowego obejmuje stanowienie wszelkich praw publicznych i prywatnych i sposobu ich wykonania, oraz że rozporządzenia władzy, z których wynikają prawa lub obowiązki dla obywateli, mają moc obowiązującą tylko wtedy, gdy zostały wydane z upoważnienia ustawy i z powołaniem się na nią. W ten sposób Konstytucja określa granicę między uprawnieniami władzy ustawodawczej, a władzy wykonawczej, co do wydawania postanowień powszechnie obowiązujących. Ten sam art. 3 mówi, iż każda ustawa wymaga zgody Sejmu, i że ustawa państwowa przekazuje przedstawicielstwu samorządu terytorjalnego właściwy zakres ustawodawstwa, zwłaszcza z dziedziny administracji, kultury i gospodarstwa.

W następnych artykułach rozdziału I. Konstytucja ustala niektóre szczególne sprawy państwowe, wymagające regulowania w drodze ustawodawczej. Do takich spraw należy przede wszystkim ustalanie corocznie budżetu Państwa na następny rok budżetowy, pobór rekruta i wszelkie obciążenia, względnie zbycie nieruchomości majątku państwowego. W ten sposób Konstytucja poddaje pod kontrolę władzy ustawodawczej niektóre, najważniejsze zadania władzy wykonawczej. Dalszym krokiem na drodze uzależnienia władzy wykonawczej od ciał ustawodawczych jest przepis art. 7, stanowiący, iż rząd przedstawiać będzie corocznie do parlamentarnego zatwierdzenia zamknięcie rachunków państwowych, i przepis artykułu 9, który ustanawia Najwyższą Izbę Kontroli, powołaną do badania tych zamknięć i do przedstawiania Sejmowi wniosku o udzieleniu lub odmówieniu Rządowi absolutorjum, a także do kontroli całej administracji pod względem finansowym.

Dalsze artykuły Rozdziału I. zajmują się organizacją ciał ustawodawczych. Według tych artykułów Sejm składa się z posłów wybranych na lat 5 w głosowaniu powszechnem, tajnem, bezpośredniem, równem i stosunkowem, przyczem prawo wyboru posiada każdy obywatel (obywatelka) polski, który ukończył lat 21, za wyjątkiem wojskowych w służbie czynnej, a prawo wybieralności każdy wyborca do Sejmu, o ile ukończył lat 25, niewyłączając wojskowych.

Z prawwyborczych nie mogą korzystać obywatele skazani za przestępstwa. Posłowie są przed-

stawicielami całego Narodu i nie są krępowani żadnymi instrukcjami wyborców, tak, że w praktyce nie jest możliwe pozbawienie posła mandatu za to, iż np. zmienił podczas trwania kadencji sejmowej swoje przekonania polityczne. Posłowie nie mogą być pociągani za swoją działalność do odpowiedzialności, o ile ta działalność wchodzi w zakres wykonania mandatu poselskiego; ponadto posłowie nie mogą być wogóle pociągnięci do odpowiedzialności karnej, aż do chwili wygaśnięcia mandatu, o ile Sejm na to się nie zgodzi. Również nie mogą być posłowie więzieni bez zgody Sejmu. Ustawa ogranicza także prawa osobiste posłów, zabraniając im nabywania dóbr państwowych i otrzymywania odznaczeń, a także pełnienia funkcji redaktorów odpowiedzialnych pism. Wzajemnie ustawa przyznaje posłom wynagrodzenie w formie diet i prawo bezpłatnego przejazdu kolejami. Wrazie, gdy poseł sprzeciwi się postanowieniom ograniczającym jego prawo wchodzenia w inteksa pieniężne z Państwem — może utracić zarówno mandat, jak i korzyści uzyskane.

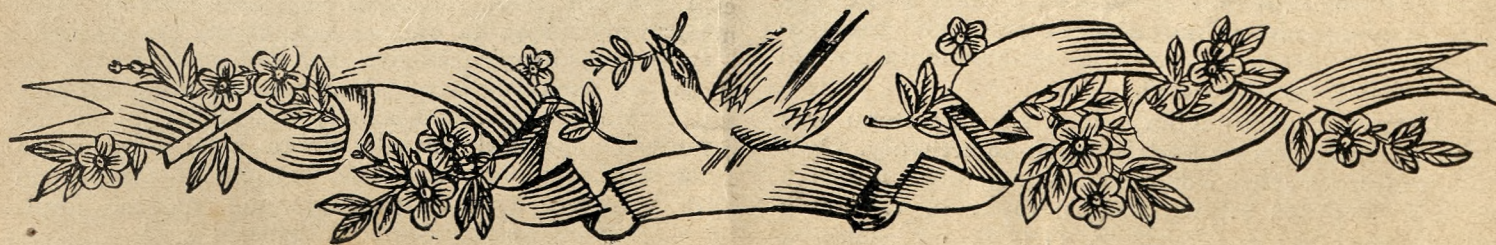
Sejm odbywa swą pracę na podstawie regulaminu sejmowego i pod przewodnictwem wybranego z grona posłów Marszałka. Posiedzenia Sejmu są jawne i tylko Marszałek może zarządzić tajność obrad. Nie można nikogo pociągnąć do odpowiedzialności za zgodne z prawdą sprawozdanie z jawnego posiedzenia Sejmu. Do prawomocności uchwał, zapadających w Sejmie potrzebna jest zwykła większość głosów, przy obecności przynajmniej  $\frac{1}{3}$  ogółu ustawowej liczby posłów, o ile inne artykuły Konstytucji nie wymagają dla załatwienia pewnych spraw silniejszej większości.

Sejm, oprócz prac ustawodawczych, ma zapewnione prawo wglądu w czynności władz wykonawczych. Prawo to wykonywuje bądź przez zwracanie się posłów z interpelacjami do Rządu, bądź też przez wyłanianie nadzwyczajnych komisji dla zbadania poszczególnych spraw i zagadnień.

Senat składa się również z członków wybranych w głosowaniu powszechnem, tajnem, bezpośredniem, równem i stosunkowem. Według ustawy ustalającej ordynację wyborczą senatorów jest 111 wobec 444 posłów. Prawo wybierania do Senatu ma każdy wyborca do Sejmu, o ile ukończył 30 lat. Prawo wybieralności zaś, każdy wyborca do Sejmu, o ile ukończył lat 40. Do senatorów stosują się wszystkie postanowienia, odnoszące się do posłów. Również odnoszą się do Senatu przepisy, dotyczące wyboru Marszałka i regulaminu Sejmowego. Kadencja Senatu rozpoczyna się jednocześnie z kadencją Sejmu.

Rolą Senatu jest rozpatrywanie ustaw, uchwalonych przez Sejm. O ile Senat nie podniesie w ciągu dni 30-u zarzutów przeciw ustawie, Prezydent Rzeczypospolitej zarządzi ogłoszenie ustawy w brzmieniu uchwalonem przez Sejm. Senat może projekt uchwalony przez Sejm zwrócić Sejmowi z proponowanymi zmianami. Takie zmiany Sejm uchwała zwykłą większością, lub też może odrzucić większością  $\frac{11}{20}$  głosujących. Druga decyzja Sejmu nie podlega rozpatrzeniu przez Senat, a ustawa zobowiązuje w brzmieniu przez nią ustalonym.

c. d. n.



## O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

R E N E S A N S

Historja wnętrza mieszkaniowego jest równie dawną jak dzieje ludzkości. Nie mam tu zamiaru, w tem, co poniżej napiszę, grzebać się w niezgłębionym materjale, jaki przedstawia rozwój siedziby człowieka, ani odszukiwać w mrokach przeszłości chwili narodzin stołka, szafy, czy łóżka. Nie trzeba zresztą szperać w historii, wystarczy przyjrzeć się dziś, w dwudziestym stuleciu ery chrześcijańskiej, zestawieniu mieszkań dzikiego murzyna afrykańskiego, moskiewskiego muzyka i amerykańskiego pracownika—aby się przekonać, do czego doszliśmy drogą ewolucji. Ale nie o to mi chodzi. Chciałbym podać parę charakterystyk wnętrz historycznych, z epok o bardzo wyraźnych cechach, niezbyt odległych od naszych czasów — a które służyły w końcu XIX wieku i nawet dziś jeszcze służą niektórym, jako wzory do naśladowania. Wtedy dopiero będę mógł swobodnie omówić cały dzisiejszy prąd w meblarstwie i urządzaniu wnętrz mieszkaniowych.

\* \* \*

Przedewszystkiem chciałbym się zagłębić w świetnej epoce rozkwitłego renesansu, gdzieś na pograniczu XVI i XVII wieku. Z odległości kilku stuleci przyjrzyjmy się oczami dzisiejszego człowieka temu okresowi. Uderzy nas wspaniałość; czy to w barwach stroju, czy w bogactwie rzeźbionego mebla, czy w przepychu architektonicznego ornamentu. Chcąc zrozumieć zewnętrzną formę, trzeba poznać przyczynę, która ten przepych wywołała. Trzeba wejść w duszę renesansowych ludzi. Trzeba sobie uprzytomnić owe potężne postacie ówczesnej historii, owych olbrzymów świata sztuki, nieustraszonych rycerzy. Trzeba wnikać w ten świat walk, intryg, dzikich namiętności, zbrodni, żądzy władzy, okrucieństwa. W świat fantastycznej religijności, a jednocześnie przesądów, ciemnoty, barbarzyństwa, zabobonów. A nade wszystko góruje szalony, rozkiełznany temperament ludzi silnych, mocnych. Życie tam jest podobne do wielkiej rzeki, toczącej swe spienione, sfalowane wody. A na tem tle wyobraźmy sobie całe zastępy wielkich talentów ludzi, którzy właśnie w owej epoce osiągnęli już nietylko pełne opanowanie swego rzemiosła, ale postawili je na niebywałej wyżynie arcyzmu. Owe zastępy architektów, rzeźbiarzy, malarzy, snycerzy — są to potęgi arcyzmu. Panuje szlachetne spółzawodnictwo, kto stworzy rzecz piękniejszą. Rozhukane żywiołowe życie ubiera się w przepyszne kształty.

Potężni i straszni ludzie renesansu całą siłą miłują — prócz walk i niebezpieczeństw — piękno. Kochają się w przepychu i formach. Moźni prześcigają się, kto piękniej i okazalej urządzi swój zamek. Dla kaprysu i dumy, powstają nieśmiertelne arcydzieła. Stroje ówczesne są najwspanialszemi jakie zna historia. Najmniejszy przedmiot jest arcydziełem sztuki. Lecz cały przepych i wspaniałość są jędrne i mocne. Czuć w nich jakby pulsujące tęgie życie, czuć rozmach i siłę.

Jeśli zajrzemy do niezliczonych zamków i pałaców tej epoki i jeśli uważnie zbadamy owe przepyszne komnaty—to się przekonamy, że jednak cały ówczesny zbytek był dziwnie celowy, płynął z potrzeby i musu. Jeśli zaściełano kamienne posadzki sal kobiercami i skórami, to w dużej mierze było to spowodowane chłodem, bijącym z kamiennych płyt.

Jeśli okładano rzeźbioną boazerją ściany, to aby uchronić od zimna, płynącego z grubych murów. Gdy zawieszano przepięknym arrasem drzwi, na krużganek czy do sieni wiodące, to aby uniknąć chłodnego powiewu, jaki wpadał przy najmniejszym uchyleniu podwoi i tak dalej. Wszystko znajdzie przyczynę, aż do masywnego stołu, który musiał dźwigać moc jadła i ciężką zastawę, aż do mocnego fotela, który powinien był utrzymać wagę ówczesnego rycerza. Widzimy więc celowość całego umeblowania, a nieużytecznych przedmiotów prawie nie znajdziemy.

Moźni władcy mogli żądać od artystów, by każdą rzecz ubrali w cudną szatę, by była sztuką; lecz ich zdrowe i silne natury potrzebowały wokoło siebie jedynie użytecznej wspaniałości. I — jeśli zgodnie z rozmiarami ich poczynań, w harmonji z bujnością wieku, forma osiąga szczyt piękna, gdy się rozwija bogactwo ornamentu zdobniczego, — to zawsze jeszcze przewodnią nicią jest potrzeba. Bo tak samo były dyktowane potrzebą masywne nogi stołu, jak było potrzebne dla dumnej duszy wyrzeźbienie herbu na kominku, czy pokrycie ornamentem powierzchni mebla. Potężne charaktery wymagały potężnych wspaniałości.

Jaśniej nam się teraz przedstawi wnętrze renesansowe. Łatwiej pojmiemy ów najwyższy poziom zdobnictwa, na chwilę przed przesytem epoki baroku, jeszcze silnej, ale już ociężałej, przeładowanej dekoracją nienaturalną. Jak się kształtowały ówczesne wnętrza? Musimy pamiętać, że sztuka wówczas była arystokratyczna. Jeśli chcemy zbadać przedmioty, malujące epokę, musimy ich szukać po zamkach.

Ośrodkiem życia dworu były sale, komnaty, hall'e. Szły zwykle szeregiem równie przepysznie udekorowane, pełne gobelinów, obrazów, rzeźbionych ław, karłów, stołów, rzeźb. Olbrzymie kominy, kute w miedzi lub srebrze, świeczniki, kobierce... Nie było wyraźnego przeznaczenia tych ubikacji. Dla orientacji nadawano im różne okolicznościowe nazwy. Stoły zastawiano do jedzenia raz tu, raz tam. Zdecydowane były zawsze kaplice i sypialne komnaty. Ciężkie łóżka z firankami, wysunięte na pokój, szafy i skrzynie, — zresztą nie różniły się niczem od innych komnat. Jeszcze może biblioteka występuje w zdecydowanej celowości; pozatem wszędzie się gromadziło, radzono, bawiono i uczowano. Gdzieś na uboczu były bezbarwne, nieznaczące izby dla służby, kuchnie i ubikacje gospodarcze.

A teraz obejrzymy takie wnętrza z punktu różnych wymagań dzisiejszego człowieka, najprymitywniejszych. Olsnieni zbytkiem, w pierwszej chwili widzimy jedynie obwieszane arrasami ściany, boazerje, kominki, odrzwia i meble misternie rzeźbione, kobierce i złote naczynia... Przyjrzyjmy się owym sypialniom niedoświetlonym i niedowietrzonym. Łóżka — ze wspaniałemi kotarami, pełnemi kurzu i pajaków. Do mycia się służyły srebrne misy, a łaźnie — chociaż zawsze istniały — nie były dla nikogo powszednim chlebem. Obok pysznych strojów mamy brud i niechlujstwo. Ludzie się stroili, ale się nie myli. Podczas uczt zjadano moc potraw, posiłkując się często palcami, psy zaś gryzły się pod stołem o kości i kęski z pańskich talerzy... Przyciśnięty potrzebą człek biegł do bliskich zarośli, szukał cienia murów, lub — wchodził do komina, gdy nie płonął na nim ogień. Takie były odwrotne strony pysznego renesansowego zamku.

Zygmunt Knothe.

## TUCZENIE DROBIU

Dochodowość gospodarstwa drobiowego może być w znacznym stopniu podniesiona przez zbyt drobiu tuczonego lub przetworów drobiowych. Jeżeli, zakreślając sobie plan gospodarstwa, zgóry przesadzamy, że nadamy mu kierunek opasowo-przetworowy, musimy odrazu postarać się o odpowiednie rasy drobiu, dające najlepsze rezultaty przy tuczeniu. Z ras kur, które u nas chowają się dobrze, bezwzględnie najlepiej się tuczą i dają najsmaczniejsze mięso Taverolles, później Orpingtony, Plymouth-Rack i Wyandotty, kury zaś bardzo nośne, jak Minorki, Włoskie itp. tuczą się słabo.

Zielononózki dają produkt o doskonałym smaku, ale mało efektowny. Jako opasowe kaczki polecam Pekingi, gęsi — Pomorskie, a indyki — Mamuty. Nagół sztuki przeznaczone na tuczenie powinny być młode, zdrowe, czysto utrzymane i racjonalnie od małego wykarmione. a zatem należy wyrośnięte. O ile cech tych nie posiadają, lepiej ich nie tuczyć, a odrazu przeznaczyć na przetwory 2-go gatunku (nie z doborowych sztuk). Istnieją dwa zasadnicze sposoby tuczenia drobiu, naturalny i przymusowy. Naturalny polega na tem, że ograniczamy ruch ptaka do minimum koniecznego dla zdrowia i żyjemy bardzo intensywnie miękką paszą białkową (przeważnie śrutą zbożową i chudem mlekiem). Tucz taki ułatwiamy sobie zwykle, podpasając drób przez 14 — 20 dni we wspólnych zagrodach.

Ma to tę dobrą stronę, że ptak przywyka stopniowo do niewoli, zanim dostanie się do pojedynczej klatki, gdzie dostaje paszę z dodatkiem tłuszczu i w takich ilościach, w jakich jest w stanie zjeść. Sposób przymusowy polega na wpychaniu do wola zagniecionych z mąki klusek, umaczanych w mleku, lub nalewanie papkowej karmy przez długi lejek zakończony gumową rurką. Należy przytem uważać, aby nowa porcja paszy była wprowadzona do wola zupełnie pustego, po całkowitem strawieniu poprzedniej. Wielkość klusek stosujemy do wielkości przełyku danego gatunku drobiu. Przymusowe tuczenie daje rezultaty szybsze i lepsze, lecz jest niezmiernie kłopotliwe, trudne i poprostu barbarzyńskie, to też u nas, gdzie rynek nie jest zbyt wymagający, stosowane jest bardzo rzadko. Również barbarzyństwem jest dawniej stosowany zwyczaj kastrowania drobiu przed opasaniem. Jest to niepotrzebne męczenie ptaków, gdyż u sztuk młodych, wczesnie podpasanych, wcale się popęd płciowy nie rozwija. Tuczenie można stosować tylko do pewnej granicy; trudność w oddychaniu i osłabienie trawienia są wskazówkami, iż opasanie należy zakończyć. Zbytne przedłużanie okresu tuczenia kończy się najczęściej śmiercią ptaka. Kury podajemy opasowi w różnych okresach wzrostu. Tuczenie kurcząt polega jedynie na intensywnem ich żywieniu w ciepłych pomieszczeniach. U nas czynność ta nie popłaca, chyba że przeznaczamy na ten cel tak zw. kurczęta zimowe, z bardzo późnych jesiennych lęgów. Takie kurczęta, nawet nieznanadto doborowe, łatwo zbyć za wysoką cenę. Do 6 tygodni żyjemy je normalnie, potem dajemy papkę z drobnej, przesianej śrutą zbożowej z mlekiem i odpadkami mięsnymi lub rybiemi, zmielonemi.

Tuczenie właściwe starszych kurcząt nie opłaca się u nas zupełnie, najwyżej więc je podpasamy w ciasnych zagrodach przez dziesięć dni. Należy wybierać do podpasania kurczęta już wypierzone, gdyż inaczej nie osiągniemy dobrych przyrostów mięsa. Najlepiej nadają się do tuczenia i najbardziej poszukiwane są t. zw. pulardy (wzgl. kapłony), to znaczy młode kurki od 4 do 6 miesięcy. Podkarmia się je przez 2 tygodnie w stadkach po 10 — 15 sztuk (koguty oddzielnie), poczem przez ostatnie 10 dni tuczy się w oddzielnych klatkach papką (jak dla kurcząt) z dodatkiem tłuszczu, najlepiej nerkowego wołowego, lub nawet świńskiego sadła. Tłuszczu nie należy używać więcej, jak 5 — 7 gr. na 1 kgr. paszy, gdyż użyty w większej ilości, powoduje najczęściej zaburzenia w trawieniu.

Jeżeli chcemy tuczyć pulardy przymusowo, to przez końcowe 10 dni pasimy je twardemi kluskami z jęczmiennej mąki, napychając 3 razy dziennie po 3 kluski, codziennie zwiększając porcję o 1 klusek. Po dojściu do 9 naraz, zmniejszamy znów stopniowo ilość, aż do końca tuczenia. Indyki nadają się doskonale do opasu i stosunkowo mało sprawiają kłopotu, gdyż bardzo dobrze przybierają na wadze, nawet gdy korzystają z pełnej swobody. Dajemy im dużo gotowanych okopowych (ziemniaki, marchew, buraki) ze śrutą zbożową lub grochową, z domieszką tuczzonego węgla drzewnego. Dodatek korzeni również wpływa dobrze na trawienie. Pozatem dajemy im papkę taką jak dla kur. Indyki pasimy 3 — 4 tygodnie. W ostatnim tygodniu ograniczamy nieco ich wolność, trzymając w zamknięciu, lecz w pomieszczeniach dość obszernych. Indyki można tuczyć i kluskami, zachowując wielką ostrożność, gdyż są one skłonne do uduśnienia. Bodaj najwdzięczniejszym materiałem do opasu są gęsi. Dają one bardzo dobre przyrosty wagi, niema najmniejszego kłopotu ze zbyciem ich, a przytem są doskonale na przetwory. Do tuczenia wybieramy gęsi młode (6-cio — 8-mio miesięczne), całkowicie upierzone (nie podskubywane). Z początku trzymamy je pół dnia na pastwisku, pół w zamknięciu, gdzie zadajemy im obficie okopowe, groch, lub kukurydzą moczona i owies parzony. Po trzech tygodniach zamykamy je w klatkach, gdzie jeszcze przez 3 tygodnie dajemy tę samą karmę z dodatkiem papki mącznej i mleka. Gęś daje się stosunkowo łatwiej niż inne ptaki napychać kluskami, to też często jeszcze sposób ten jest stosowany (np. na całym Pomorzu). Kluski zagniata się z mieszaniny mąki jęczmiennej i owsianej. W celu uzyskania dużej wątroby, co jest niezmiernie ważne dla przetwornictwa, można dodawać co drugi dzień, na końcu noża, siarczanu antymonu, stosując to jednak oględnie, aby nie wywołać choroby ptaka. Kaczki tuczemy jedynie naturalnym sposobem, gdyż ze względu na ich przyrodzoną żarłoczność dają zawsze dobre wyniki. Trzymamy je w ciasnych zagrodach przez cały czas opasania (3—4 tygodnie), dając obficie siekane okopowe ze śrutą i zieleniną, z dodatkiem rzeczno piasku i tuczzonego węgla drzewnego. Raz na dzień, na wieczór, posypujemy im ziarno — jęczmień, owies, lub kukurydzą. Musimy dbać, aby miały zawsze świeżą wodę do picia. Dobrze jest

też wkopać w zagrodzie korytko na wodę do kąpieli. Ważną sprawą jest decyzja, w jakim wieku kaczkę przeznaczymy do tuczenia. Możemy użyć w tym celu, albo sztuki 8-miotygodniowe, albo mające po 5, 6 miesięcy, gdyż w międzyczasie pierzą się i pomimo najstarszego żywienia, nie dają przyrostu mięsa. Dotaczenie gęsi i kaczek, oprócz zwykłych objawów, charakteryzuje się jeszcze niemożnością skrzyżowania skrzydeł na grzbiecie. Przystępując do opasu drobiu, musimy wielce dbać o czystość w stanowiskach, racjonalne urządzenie klatek i regularne podawanie paszy. Są to jedne z podstaw powodzenia. Ważnym jest również zapewnienie tucznikom ciszy i spokoju.

Niemalą sztuką jest umiejętne bicie i sprawianie drobiu. Nie wolno ptaków zbyt straszyć, ani męczyć.

Główkę najlepiej zρέcznie odrębać i dokładnie spuścić krew, aby mięso było jasne. Niezwłocznie po zabiciu należy skubać, w kierunku porostu piór, tak, żeby nie pozadierać skóry. Na bliższą wysyłkę wnętrzości pozostawiamy, na dalszą — wyciągamy je haczykiem przez odbył. Wszystek drób zabity należy przed zastygnięciem uformować, to znaczy zgiąć nogi w kolanach i ułożyć wzdłuż boków, skrzydła zaś odchylić ku tyłowi. Indyki i pulardy zawijamy nadto w kawałki płótna, zwilżone chudem mlekiem, układamy w równy rząd i opieramy im na piersiach deseczkę lekko obciążoną, w celu wgniecenia wystającej kości piersiowej.

Takie sztuki o ładnym, okrągłym wyglądzie, bez porównania łatwiej zbyć, niż nieufornowane. H. B.

## ZAPASY ŚPIŻARNIANE

Niema nic bardziej niepraktycznego, bardziej kosztownego i bardziej kłopotliwego, jak dla pani domu, tak i dla służącej, jak codzienne kupowanie małymi ilościami potrzebnych produktów. Nietylko, że mamy towar drugorzędny, nabywany w najbliższym sklepiku, że mamy przeważnie złą wagę, że przepłacamy za brudne torebki i papiery, idące przeważnie zawsze na wagę, że dajemy służącej możność naliczania koszykowego na tych drobnych sprawunkach, których ceny codzienne skontrolować nie możemy, że ją męczymy nieraz kilkakrotnem bieganiem po schodach, lecz zaprzętały sobie niepotrzebnie głowę codziennem obliczaniem tego, co potrzebne i nieraz psujemy smak potraw przez to, że kładziemy w nie tyle przyprawy, ile właśnie przyniesiono, a nie tyle, ile się dać powinno, mając zapas niezbędnych produktów w domu. Każda oszczędna, rzadna i przewidująca gospodyni powinna sobie raz na zawsze obliczyć, ile w ciągu miesiąca zużywa mąki, kasz, ryżu, strączkowych, makaronu, konserwów, kawy, herbaty, kakao, cukru, masła solonego, szmalcu, słoniny, (tę ostatnią, o ile nie używamy słoniny wędzonej, jak wszędzie na kresach, należy po kupieniu natychmiast osolić), oliwy, korzeni i t. p. i cały ten zapas kupić na początku miesiąca w jakimś pierwszorzędnym sklepie, lub lepiej hurtowni, zyskamy nietylko na cenie niższej i sumienniejszej wadze, lecz i na odrzuceniu całej masy tekturowych torebek, brudnych papierów kancelaryjnych, lub gazet, których używają drobne sklepiki. Oprócz tego, możemy się zaopatrzyć na miesiąc cały w bułeczkę tartą, we fryturę, (niezbędną w domach, gdzie lubią różne ryby smażone, paszteciki smażone, krokiety i t. p.)

Najbardziej zawsze unikać należy wszelkich tłuszczów kombinowanych, wskutek zachwalanych tłuszczów i sztucznych maseł zagranicznych, robionych z nieznanym nam materiałom i powodujących nieraz rozstroje żołądka. Wyjątek z tego stanowi czyste masło kokosowe, bardzo użyteczne do smażenia ryb w poście, gdyż nie pali, jak masło krowie, a mogą go używać osoby poszczące, nieużywające w tym czasie tłuszczom zwierzęcych. Oliwa, którą należy używać tylko bardzo świeżą, gdyż tylko taka zdrowiu nie szkodzi, kupiona w oryginalnych blaszankach, może stać w nich, niepsując się, rok cały.

Na cały miesiąc można też zrobić zapas szynki surowej, baleronu, polędwicy, kiełbasy suchej, krakowskiej, lub litewskiej. Wszystkie te wędliny nieco pod-

sychając, stają się coraz smaczniejsze, należy je tylko przed podaniem krajać bardzo cienko i bardzo ostrym nożem. Ser holenderski, lub litewski, kupiony całą główką, zawinięty w cynfolję, lub pergamin, też się wcale nie psuje, przeciwnie, nabiera ostrości i pewnej soczystości wewnętrznej, tak cenionej przez amatorów. Wiemy wszystkie, jakie olbrzymie usługi oddaje nam czasem puszka sardynek, skumbryj, lub innej dobrej rybnej konserwy, kiedy chodzi o niespodziewane dodanie czegoś do zbyt skromnej, lub zbyt szczupłej kolacji. Puszka łososia, umożliwia nam przygotowanie na prędko majoneziku, sałatki, czy innej fantazyjnej przystawki. Kilka puszek skondensowanego mleka i śmietanki stanowi deskę ratunku w razie zwarzenia się mleka do kawy, lub nagłego braku kwaśnej śmietany, kiedy przyrządzamy jakieś danie na późną kolację. Co do kawy, to wiele osób uważa, że na czarną kawę należy brać ją codziennie, świeżą. Oczywiście, o ile chodzi o kawę mieloną, mają one do pewnego stopnia rację. Sądzę jednak, że nawet mielona kawa, trzymana w blaszanej puszcze ze szczelną pokrywką i pokryta jeszcze szczelnym tamponem z waty, owiniętej jedwabnym papierem i cynfolją, nie straci w tydzień, lub dwa, nic ze swego aromatu. kawa zaś palona w ziarnkach, codziennie, przed użyciem, mielona w młynku, — w takim samym opakowaniu wybornie cały miesiąc stać może. Panie ze wsi, zawsze lepiej robią, kupując kawę surową i paląc ją w domu,

Oprócz produktów spożywczych należy też raz na miesiąc zaopatrzyć dom w mydło — które wysychając gdzieś na półce, lub na szafie staje się trwałym i oszczędniejszym w użyciu — farbkę, sode, krochmal, bielidło, pastę do obuwia, wosk i terpentynę do podłóg, (zaprawa najoszczędniejsza i najlepsza jest robiona w domach) benzynę do czyszczenia, spirytus lub naftę do maszynek, proszek do aluminium, oczyszczoną kredę do srebra, wszelkie środki do czyszczenia, jakie zwykle używamy, nawet proszek do noży i t. p.

Węgiel i drzewo przeważnie wszyscy zakupują hurtowo na zimę całą. Słyszałam ostatniemi czasy głosy wielu praktycznych gospodyń, które twierdzą, że lepiej, po obliczeniu dokładnie potrzebnej ilości — kuchni, łazienka, piece i piecyki pokojowe, pranie i t. d. — kupować opał co miesiąc. Ułatwia to kontrolę nad służbą i usuwa tak przykre noszenie po schodach i ciemnościach w piwnicy, gdyż miesięczny zapas

węgla można zawsze ulokować w jakichś skrzyniach na kórytarzu, lub w jakim schowanku. Zgodziłabym się chętnie na taką inowację, gdyby nie wciąż rosnące ceny opału w ogólności, w szczególności zaś w zimie przy każdym nastaniu silniejszych mrozów.

Codziennie oczywiście musimy kupować mleko, śmietaną jednak kwaśną i masło śmietankowe do bułeczki możemy doskanale, zimą szczególnie, a nawet i latem, jeżeli posiadamy lodówkę pokojową, kupować raz na tydzień, Mięso, drób, zwierzynę, zimą należy też zakupywać na tydzień od razu, latem niestety nie możemy sobie na to pozwolić, co jest wielką szkodą, gdyż z dużego kawałka zawsze wygodniej różne dania wykombinować można.

W niedużych, miastowych gospodarstwach nie polecam kwaszenia większych ilości kapusty i ogórków, chyba, że mamy jakąś specjalnie dobrą i suchą piwnicę, lub też, że rodzina, czy dom jest tak duży, że poważne ilości tych jarzyn znajdują zużycie. Tam, gdzie kapusta, lub ogórki używają się raz na tydzień na sałatę, lub na zupę, dużo oszczędniej będzie kupić je w sklepie — niech i sklepikarz czasem coś na nas zarobi! — niż wciąż pilnować, aby nie spleśniały i w końcu zawsze, ku wiośnie, część zepsutą wyrzucić.

Natomiast konserwów pomidorowych, o ile ktoś nie robi ich w domu, należy zawsze mieć zapas w większych i mniejszych puszkach. Różnica cen w hurcie i w detalu jest olbrzymia, gdyby ilość potrzebna dla jednego gospodarstwa była zbyt mała, kilka domów krewnych lub znajomych może się zmotwić i zbiorowy zakup zrobić, puszki z konserwami jarzynowymi czy owocowymi dają się bez najmniejszego kłopotu podzielić i przenieść do poszczególnych mieszkań. Pozostają jeszcze jaja, wiele osób robi próby konserwowania ich z bardzo złymi rezultatami. Otóż można konserwować tylko jaja bardzo świeże, na wsi, lub mając własne kury w mieście. Jaja do konserwowania powinny być użyte w 24, najpóźniej w 48 godzin po ich zniesieniu. Jaja starsze, jakie zwykle w mieście nabywamy, po pokryciu szkłem wodnym, wapnem, pokostem i t. p. nietylko nie konserwują się, lecz psują jeszcze prędzej, niż leżące sucho. Kto ma możność nabycia jaj świeżych z pewnego źródła, może i tak miesięczny zapas przetrzymać w suchem, niezbyt ciepłym miejscu. Nie zepsują mu się, byle nie było między niemi pękniętych i byle nie leżały w wilgoci.

*Pani Elżbieta*

Całe kilo najczerwieńszych niedużych egipskich buraków obrać, pokrajać w cienkie talarki, wsypać w smak jarzynowy, gotować aż zmiękną. Popróbować w smaku, powinno być dosyć słodkie, gdyby jednak nie było dosyć włożyć łyżeczkę cukru. Wlać jedną, niedużą łyżkę najmocniejszego octu winnego, raz zagotować, przecedzić przez sito, Barszcz ten dopiero po dolaniu octu nabiera wspaniałego, czerwonego koloru, przy gotowaniu buraków kolor ten ginie. Chcąc mieć kolor jeszcze ciemniejszy, należy pozostawić jeden, bardzo ciemny, surowy burak, utrzeć go na tarce, przełożyć go na sitko i przez to sitko z burakiem przelać barszcz w chwili podania. Taki barszcz jest wyborowy na zupę w dni postne do kartofli lub pasztecików. Gotując go w dni mięsne, można doń włożyć kawałek boczku wędzonego lub wołowiny z rurą. Duża ilość wędliny psuje kolor barszczu.

**Grochówka.** Ogromnie pożywna zupa, którą niestety mało kto smaczno przyrządza. Pół kilo grochu namoczyć w letniej wodzie i trzymać tak nalany wodą przez 24 godziny. Na trzy godziny przed obiadem, postawić groch nalany świeżą, zimną wodą na ogień, zagotować i dać wolno gotować się na brzegu blachy, nie soląc go wcale, gdyby mało zmiękł przy maczaniu włożyć na koniec łyżeczki soli. W oddzielnym garnku postawić na smak pół kilo wędzonego boczku lub tyleż golonki od szynki wędzonej, sporą marchew, takąż pietruszkę i dużą cebulę, parę ziarn pieprzu i ziela, listek i gałązkę majeranku, gotować aż mięso zmięknie, a włoszczyzna prawie zupełnie się rozgotuje. Na dwadzieścia minut przed podaniem groch i włoszczyznę przetrzeć przez sito, lub druszlak, rozprowadzić smakiem z wędliny, zaprawić łyżką mąki, wsypać łyżeczkę tartego majeranku, zagotować raz, na koniec dodać pokrajany w kawałki boczek lub golonkę i wydać. Do grochówki oddzielnie podaje się drobne grzanki z chleba, lub bułki przysmażone na masle, lub wprost ususzone w piecu do zrumienienia.

Dla osób, które lubią groch cały, zupę tę przyrządza się w zupełnie ten sam sposób, tylko grochu się nie przeciera, włoszczyznę odrzuca, a zamiast mąki wkłada do zupy kaszę ugotowaną z pęczaku, lub grubszej perłówki. Na tę ilość grochu i mięsa dziesięć deka kaszy wystarczy.

#### KACZKA ZE SŁODKĄ KAPUSTĄ

Oczyszczoną z supłów i opaloną dużą kaczkę ugotować na miękko w wodzie z włoszczyzną, jak na rosół. Smak ten zużyć na ogórkową lub perłową zupę. Drobki z kaczki, za wyjątkiem wątróbki, która nigdy nie powinna być gotowana w rosolu, gdyż daje gorzki, należy ugotować razem z kaczką. Dwie główki słodkiej, zwykłej, białej lub włoskiej kapusty ugotować oddzielnie w wodzie z solą. Metalowy półmisek wysmarować masłem, ułożyć na nim kaczkę pokrajaną na osiem części, przekładając ją ćwiartkami kapusty, pokrajane ułożyć razem. Dwie łyżki mąki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić rosolem z kaczki i kwaterką kwaśnej śmietany, zagotować raz tylko. Sos powinien być bardzo gęsty i powinno go być tyle żeby kaczki i kapusta były pokryte. Posypać obficie bułeczką zmieszaną po połowie z ostrym serem i wstawić do gorącego pieca na kwadrans. Podawać na tym samym półmisku.



#### RZECZY NAJPROSTSZE

Czysty, postny barszcz burakowy. Nastawić w trzech litrach wody dwie marchewki, cebulę, pietruszkę, gałązkę świeżego lub suchego koperku, dwa małe, lub jeden duży, prawdziwy grzyb suszony. Gdy się zagotuje, zszumować, osolić do smaku, wrzucić pięć ziarn pieprzu, tyleż ziela i jeden listek laurowy. Kto lubi może dodać gałązkę majeranku.



## PASZTET DO ZABIERANIA NA POLOWANIA

Jeden z wielu sposobów przyrządzania pasztetu z przodków zających, — główną jego zaletą, jest to, że robi się w kształcie małych bochenków, dogodnych do zabierania na polowania, gdyż taki bochenek, zawinięty w pergamin, można włożyć w torbę myśliwską, a ponieważ pasztet upieczony jest w cieście, można, jedząc go, obejść się bez chleba. Dwa przodki zające udusić z pół kilo boczku, i pół kilo cielęciny i dwudziestu deka włoszczyzny. Dodać włoszczyzny, jak na dobry rosół, — parę marchewek, pietruszkę dużą, selera, pora, ze cztery spore cebule, trzy młode grzybki suszone, lub garstkę suszonych pieczarek, pieprzu, ziela, listka, parę goździków i parę listków kwiatu muszkatolowego, osolić, nalać wodą, aby objęło, dusić pod pokrywą, zagładając czasem, aby się nie przypaliło. Po trzech — czterech godzinach jarzyny powinny się zupełnie rozgotować, a mięso odstąpić od kości. Oddzielnie udusić z kawałkiem słoniny kilo wątróbki cielęcej, wprawd dobrze wymoczonej i ściągniętej z błony.

Gdy już prawie miękka włożyć parę cebul, osolić i podusić jeszcze minut kilka. Wszystkie mięso obrać starannie z kości, przepuścić dwa razy przez maszynkę wraz z jarzynami, wątróbkę z sosem, który się przy duszeniu uformował. Dodać cztery bułeczki, (kajzerki,) wymoczone w mleku, przepuścić raz jeszcze przez maszynkę, lub pręfasonać przez druciane sito, wbić cztery jaja, wyrobić doskonale, dodać jeszcze korzeni do smaku, wlać kieliszek madery, lub wytrawnego węgryna. Zrobić zwykłe ciasto drożdżowe, jak na bułeczki maślane, lub też ciasto drożdżowe pół francuskie, biorąc na jedno i na drugie po 1 kilo mąki, pół kilo masła i dwa deka drożdży. Podzielić na tyle części, ilu jest uczestników polowania, (z tej ilości około dziesięciu pasztetów indywidualnych), rozwałkować cienko, nałożyć każdy masą pasztetową, zawiązać zrzęcznie, nadając kształt małych bochenków, posmarować żółtkiem i upiec w średnio gorącym piecu. Kto chce dać grubą warstwę ciasta, może nań użyć do półtora kilo mąki. Chcąc te pasztety zrobić bardziej elegancko, można włożyć w każdy kilka, lub kilkanaście pasków cienko krajanych trufl.

## PIECZEŃ WIEPRZOWA Z SOSEM POWIDŁOWYM

Kawał pieczeni wieprzowej, miękkiej od szynki lub od łopatki sparzyć na noc lekkim octem, przegotowanym z korzeniami, potrzymać ze sześć godzin w tej marynacie. W rondlu rozpuścić łyżkę masła, lub lepiej szmalcu, położyć na to marynowane mięso, osolić, zrumienić ze wszystkich stron na silnym ogniu, dusić dalej po dodaniu pokrajanej cebuli i garstki różnej włoszczyzny, podlewając zamiast wody, octem w którym się marynowało. Gdy dobrze miękka pieczeń, wyjąć ją, nakrajać w zgrabne plastry, uważając, aby zawsze krajać w poprzek włókien, żeby było kruche. Do tłuszczu pozostałego w rondlu włożyć dwadzieścia deka dobrych, śliwkowych powideł, lub marmelady z pół kilo dobrych śliwek uduszonych i przetartych przez sito, dodać cukru do smaku, garść tartej bułeczki, trochę cynamonu i goździków tłuczonych, zagotować parę razy i polać tem pieczeń. Resztę sosu podać w sosjerce.

## MÓZGI WOŁOWE W KRUCHEM CIEŚCIE.

Zagnieść kruche ciasto z pół kilo mąki i ćwierć kilo masła, bardzo tłustego, lub świeżego szmalcu, dodać jedno jajko, osolić i dodać tyle wody, aby ciasto się łatwo dało wałkować. Położyć na godzin parę w chłodnym miejscu. Tymczasem trzy mózgi cielęce, lub dwa wołowe wymoczyć, zdjąć z nich błonkę, ugotować w osolonym wrzątku z dodaniem octu, — ostrożność, bez zachowania której, mózgi przy gotowaniu nieraz się rozpadają. Ostudzone pokrajać w drobną kostkę. Dużą cebulę, drobno pokrajać, przesmażyć w łyżce masła, włożyć w te pokrajane mózgi, dodać całe jajko, filiżankę bułeczki tartej, szklanek rosołu i szklanek kwaśnej śmietany, osolić do smaku, nieco popieprzyć, kto lubi, może dodać nieco muszkatolowej gałki. Kruche ciasto cieniucho rozwałkować, wyłożyć niem niedużą formę pasztetową, włożyć moczona masę, zasklepić doskonale ciastem, nakłuć w paru miejscach widelcem, aby para wychodziła i upiec w umiarkowanie gorącym piecu. Przed wyduszeniem wyrzucić na półmisek i podać gorące zamiast pasztetu, po zupie. Do tego sos pomidorowy, lub rumiany z kaparami czy z cytryną.

## MÓZGI WOŁOWE W KLARZE.

Wymoczyć dwa wołowe mózgi, (można zamiast nich wziąć cztery cielęce), ściągnąć z nich błonkę, wrzucić do mocno osolonej wody z łyżką mocnego octu, ugotować i ostudzić w tejże wodzie. Kwaternę mąki zmieszać z dwoma żółtkami i taką ilością mleka, lub śmietanki, aby ciasto było nieco gęstsze niż na naleśniki, osolić ciasto, białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z ciastem. Rozgrzać w płaskim rondlu szmalc, lub fryturę, jak do smażenia pączków. Mózgi wyjąć z wody, osuszyć, maczać w cieście i smażyć natychmiast do zrumienienia. Takiemi mózgami można okładać pieczeń z grochem lub kartoflami, szpinak, marchewkę, groszek, lub prawie każdą inną jarzynę.

## PRĘDKA LEGUMINA Z JABŁEK

Pół kilo kwaskowych, dojrzałych jabłek drobno pokrajać, odrzucając srodki i ziarnka. Dwadzieścia pięć deko czarnego, czerstwego chleba utrzeć na tarce. Półmisek metalowy posmarować masłem, kłaść warstwami chleb tarty i jabłka, przesypując każdą warstwę cukrem, (dwadzieścia pięć deka). Po wierzchu rozłożyć dziesięć deka masła drobnymi kawałkami, posypać cukrem i wstawić na pół godziny w niezbyt gorący piec. Do tego podaje się zimne mleko lub śmietankę.

## GRUSZKI Z MADERĄ

Bardzo soczyste, dojrzałe, delikatne gruszki, na przykład diuszesy lub którekolwiek z ber obrać ze skórki, przekrajać na połówki i ułożyć w salaterkę, łyżkę cukru zrumienić na patelni na bardzo złocisty karmel, zalać wodą, zagotować. Na dwanaście dużych gruszek, ugotować bardzo gęsty syrop z trzydziestu deko cukru i pół szklanki wody, gotując włożyć całe wanilji, zmieszać z palonym cukrem i pół szklanką madery lub innego, mocnego, hiszpańskiego wina. (Xeres, Portwein, Marsali i t. p.) Gorącym syropem zalać gruszki, przykryć i trzymać tak ze sześć godzin na chłodzie, podawać bardzo zimne, najlepiej z lodu.

Pani Elżbieta.

**Dr. J. ŚWITALSKA**

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH, KOSMETYCZNYCH I WENERYCZNYCH, WYŁĄCZNIE DLA KOBIEC, OD 5-7.

KRUCZA 31, TELEFON 102 - 77.

## DOBRE RADY

Plamy od smarowidła z wełnianych, zabarwionych materiałów wyciąga się w sposób następujący: materiał zwilża się, plamę pokrywa tłuszczem, dobrze namydla, pozostawia kilka minut pod działaniem mydła i na zmianę myje w oleju terpentynowym i gorącej wodzie. Jeżeli to nie pomoże, pokrywa się plamę żółtkiem, rozrobionem z trochę oleju terpentynowego, zdrapuje i dokładnie myje gorącą wodą.

\* \* \*

Chcąc wyczyścić plamę ze smarowidła z jedwabiu lub atlasu, materiał zwilża się, plamę pociera się gąbką, umoczoną w mieszaninie eteru z chloroformem, posypuje się plamę białą gliną i prasuje na gorąco.

## KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

**Wilniance.** Na zapytanie Sz. Pani wyczerpującą odpowiedź może podać jedynie Związek Akademiczek krakowskich „Jedność” w Krakowie.

**Pani A. Ł. Zagaje.** Jeżeli bielizna grubsza można spróbować uprać ją w Radionie według zamieszczonego na pudełku przepisu. Cienką bieliznę trzeba prać cierpliwie w średnio gorącej wodzie zwyczajnym sposobem, nie używając wcale chloru, z czasem zabarwienie zniknie. Na inkrustacje w bieliźnie używa się tiulu greckiego dowolnej grubości.

**Pani St. P. Chociń.** Bardzo dobra, przystępna i niedroga jest książka Stanisława Brzozowskiego „Inspekt”. Zakładanie zimnego i ciepłego inspektu, obchodzenie się z nim znajdzie Sz. Pani w tej książce wyczerpująco traktowane. Co do kawonów, i melonów niech Sz. Pani zwróci się listownie do Tow. ogrodniczego—Bagatela 3-5—Sekcja hodowlana.

**Stałej prenumeratorce ze Lwowa.** Ścieg tunetański robi się wzdłuż, zdejmując na szydełko oczka poprzedniego rzędu, w następnym przerabiając każde po założeniu nitki na szydełko, aż do jednego oczka i tak dalej powtarzać rzędy. Dziwi mnie, że Sz. Pani żąda wytłumaczenia tej roboty, kiedy we wskazanym numerze jest tylko poduszka z koronki irlandzkiej.

Książka, o którą Sz. Pani pyta, kosztować będzie 5 zł.

\* \* \*

**Na liczne zapytania Czytelniczek, jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy”, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje tylko 1 zł. 50 gr.**

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu”, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

**Mężowi.** Na imieniny zamiast Mego Kremu, proszę kupić „Ewa” krem po goleniu się—Dr. J Świtalskiej, w składzie nieco zmieniony, w opakowaniu wygodniejszym, bo w tubkach wyrabiały np. do podróży nadaje się, bo bardzo mało miejsca zajmuje. Sprzedaż detaliczna — Krucza 31 m. 3.

**Łucji czytelniczce stałej.** Niema pewnych i dobrych sposobów farbowania włosów. Widziałam w najlepszych paryskich zakładach zupełne zniszczenie włosów. — Niestety dotychczas w tej dziedzinie kosmetyki są bardzo nieznaczne postępy. Obecnie sama pracuję nad stworzeniem idealnej farby do włosów. Praca ta wymaga bardzo dużo czasu, gdy tylko będzie skończona natychmiast swoje pacjentki zawiadomię przez Bluszcz. Narazie proszę używać Hennę lub Saphizinę—są nieszkodliwe, ale mogą dać zupełnie niespodziany kolor — zależnie od jakości indywidualnej włosów i gatunku farby.

**K. S.** Do mycia włosów proszę używać Mój płyn Dr. Świtalskiej — doskonały środek, zapobiega szybkiemu natłuszczeniu się włosów i przeciwdziała wypadaniu i siwieniu. Dr. J. Świtalska.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 43

- 967.. Suknia z kasha brązowego, przybrana sukniem bois de rose.
968. Suknia z crepe marocain koloru lie de vin. Kamizelka kremowa naszyta riuszkami z koronki.
969. Kostjum z wełny granatowej, przybrany futrem.
970. Płaszcz z welwetu ciemno zielonego przybrany futrem, dla dziewczynki ośmioletniej.
971. Palto z zamszu koloru taupe, kołnierz i mankiety futrzane.
972. Palto z sukna szarego, pasek z tego samego materiału.
973. Palto aksamitne ciemno wiśniowe, przybrane dzetowymi guziczkami.
974. Kostjum z kasha rudobronzowego, kołnierzyk i wyłogi sukienne.
975. Paltocik zamszowy, przybrany futrem dla dziewczynki dwunastoletniej.
976. Kostjum z kasha desenioowego, kołnierz futrzany.
977. Sukienka z woalu wełnianego z przodem plisowanym.
978. Sukienka z dwóch materiałów.
979. Sukienka przybrana haftowanymi motywami
980. Sukienka z „flory” koloru fraise przybrana haftem.
981. Sukienka z dwóch materiałów przybrana guziczkami.
982. Ubranko z wełny piskowej przybrane ciemniejszym sukniem.
983. Sukienka wełniana dla dziewczynki dwunastoletniej.
984. Sukienka z wełny w kratę dla dziewczynki dziesięcioletniej.
985. Sukienka z „flory” fraise dla małej dziewczynki.
986. Sukienka aksamitna, przybrana haftem dla dziewczynki dwunastoletniej.
987. Sukienka biała flanelowa, przybrana barwnym wyszyciem dla dziewczynki dwunastoletniej.
988. Wzór na makatę do dziecinnej pokoju, haft i aplikacja.
989. Wzór na kilim.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2.50
bluzka . . . . .	„ 2.00
formy dziecinne . . . . .	„ 2.00
bielizna . . . . .	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

\* \* \*

Zawiadamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu” organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.